12[illegible].

B.P. im. Ł.

1000072364

SZLACHCIC ZAWALNIA

CZYLI

BIAŁORUŚ

W FANTASTYCZNYCH OPOWIADANIACH

144653

PRZEZ

JANA BARSZCZEWSKIEGO.

Poprzedzone krytycznym rzutem oka na Literaturę Białoruską

PRZEZ

ROMUALDA PODBERESKIEGO.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ... W LUBLINIE

Z ryciną Rud. Żukowskiego, przedstawującą główne sceny opowiadań.

PETERSBURG.
W DRUKARNI KAROLA KRAJA.
1844.

Wojew. i Miejska Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego
LUBLIN
I-324310
I-324310 [T.1]
884-3+884(091):398(576)

Pozwala się drukować, pod warunkiem, aby po wydrukowaniu, złożoną była w Komitecie Cenzury liczba egzemplarzów prawem przepisana. St. Petersburg Września 9 d. 1844 r.

Cenzor Ignacy Iwanowski.

BIAŁORUŚ

I

JAN BARSZCZEWSKI *).

Cóż w tém traci ogół, że każdy tak przemawia jak czuje, jak jest przekonany?... Czy nie szlachetniéj, aby Krytyk wynurzał własne myśli, jak żeby mówił to, w co sam nie wierzy?...

Żegota Kostrowiec, o Krytyce.

Na osądzonéj dotąd za stronę zapadłą Białejrusi, daje się od niejakiego czasu wyraźnie postrzegać niezwykły ruch intellektualny. Dopatrujemy się go w faktach objawiających się w literaturze, a więcéj jeszcze w żywym interessie, jaki sama Literatura zaczyna obudzać w życiu domowém obywateli, potoczne ich rozmowy

*) Jest to część moich pism o Białejrusi; ja tu w krótkim zarysie starałem się przedstawić Literaturę białoruską, tak jak w *Listach* statystyczne wiadomości z moich podróży, a we wstępie do jednéj z *towarzyskich* powieści P. *Barszczewskiego* zamierzam skreślić fizjognomją czasów po-jezuickich.

ożywiać. Życie bowiem umysłowe objawia się nie w jednych tylko książkach. Owszem, zdarzają się epoki, że książki są tylko najsłabszym wyrazem myśli ogółu. Dzieje nie jednokrotną zachowały o tém pamiątkę. Literatura na Białejrusi zaczyna być u płci obojéj miłą zabawą, — to już postęp nie mały! zabawa ta stając się coraz powszechniejszą, z czasem od dzieł ulotnych, wyłącznie belletrycznych, przejdzie do poważniejszych, i umysłowe zajęcia w codzienny chléb się zamienią. Dość jest pobywać w domach możniejszych obywateli Inflanckich, w Połockiém i Witebskiém, aby się o téj prawdzie przekonać. W domach oświeceńszych, w których Damy odebrały staranniejsze wychowanie, wygnane są francuskie romanse, dzięki autorowi Krytyk i Literatury, — nawet nie szukają chluby ze szczebiotania po francusku, chociaż ten język nieraz posiadają doskonale. Matki zajmują się z godną największego uwielbienia troskliwością, uczeniem dzieci przedewszystkiem rodowitego języka. Rzekłbyś, że podwojoną gorliwością starają się zatrzeć pamięć nie zbyt sławnéj przeszłości i zaniedbania interessów najbliższych. Reakcja od obskurantyzmu Alvara i wad, dotąd zarzucanych Białejrusi, wyraźna.

O téj pożądanéj zmianie przekonałem się naocznie w czasie cztero-miesięcznéj w roku przeszłym przejażdżki, i obszerniéj pamięć poczerpniętych tam wrażeń

wyraziłem w tych z moich Listów o Białéj-Rusi, które do Tygodnika Petersburskiego przeznaczyłem. Uderzony poetyczną stroną krainy i ludu, który w tak wysokim stopniu rozwinął śpiewny element, w takim ogromie najrozmaitszych pieśni,— powróciwszy do stolicy, z większą bacznością zacząłem rospatrywać wszystko, co ową stronę miało na celu. Niezadługo dostarczył mi nowego przedmiotu, znany od lat kilku Wydawca Niezabudki, P. Jan Barszczewski, człowiek głęboko pod względem poetycznym stronę swoją pojmujący, który przez napisanie fantastycznych opowiadań podań gminu Białoruskiego, na powszechną zaczyna zasługiwać uwagę, i w rzędzie nowo-powstających tam pisarzy, zupełnie wyłączne zajmować miejsce.

I w przeszłych czasach Białoruś miała swoich umysłowych przedstawicieli, jeżeli tak nazwać godzi się niezdolnych popleczników wielkich wzorów klassycyzmu. Wszakże pisarze owi, uniesieni wirem zachodnich idej, malejąc w naśladownictwie, nie rozwijali własnego ducha, nietkali kanwy z siebie samych, a ślepo trzymając się przesławnych wzorów, nie przejawili nigdy ducha narodowego, bo go sami nie mieli i niepojmowali. W ich dziełach nie odbiła się ani miejscowość, ani duch strony. Były to raczéj żakowskie lukubracje, z łachmanów klassycyzmu francuskiego poz-

szywane skrętnym przemysłem wychowańców znamienitego Alwara!

Między innémi kilka imion przeszło do Historji Bibliografji polskiéj. Franciszek Bohomolec, Jezuita, autor komedji, kontynuator żakowskich djalogów długo trzymających się na scenie jezuickich teatrów. W komedjach tych przedstawiał się świat jakiś dziwaczny, że się tak wyrażę, połowiczny, bo przeznaczone dla teatrów klasztornych, nie wprowadzały osób płci żeńskiéj. Główną ich myślą było wyśmiać wpływ cudzoziemców na kraj, w szczególności na panów, wprowadzających do swych domów francuskie mody, francuskich kucharzy, francuskich guwernerów, których obawiano się wpływu na zepsucie zasad religji i rospowszechnienie wolterjanizmu. — Muśnicki, Jezuita, autor przesławnego poematu Połtawa, pisał też pieśni, ody, nareście Komedje, a nawet i Tragedje, jak Śmierć Cycerona, Śmierć Klemensa męczennika, w któréj tryumf religji i t. d. I jego mnisze wyroby, przeznaczone dla szkół duchownych, miały tenże sam duch i tenże cel, co i Bohomolcowe, z mniejszą wszakże dozą dowcipu. — Mihanowicz, Jezuita, oschły tłumacz Eurypidesa tragedji: Orestes. — Franciszek Dyonizy Kniaźnin, wiadomy panegirysta na dworze X. Ad. Cz. poczciwa, marzycielska dusza, zniedołężniona przez poniewieranie się jak i Karpiń-

ski, po pańskich dworach, na których każdy z mniéj więcej poetycką duszą, poniżenia się tylko doczeka. Że Kniaźnin był poetą w duszy, wskazuje szczegół jego biografji, że się zakochał w księżniczce, a niedawno P. Aleksander Groza potwierdził to w pięknéj swéj fikcji; z pozostałych dzieł jego, mimo usiłowań estetyków, nie mogliśmy się o tém przekonać.

W nowszych czasach Jan Onoszko, jawi się bliższym ducha narodowego; snuł nie mało z siebie, jak wskazują wierszyki, które nieraz powtarzane na Białejrusi słyszałem. Był to człowiek z prawdziwym poetycznym talentem; ale zbity z drogi niekonduitą, nędznie i przedwcześnie w karczmie gdzieś, przed ośmią laty, życie zakończył. Włócząc się bezcelnie od komina do komina, przyszedł do tego, że pisał panegiryki, gdzie go dobrze przyjęto, a uszczypliwe satyry, gdzie z nim nie bajramowano. Znana jest w ustach, jego Satyra o wódce, któréj taki początek:

Pijem bracia opojem, pijem codzień prawie,
Pijem i przed zabawą, pijem po zabawie,
Pijem kiedy się żenim, kiedy się rozwodzim,
Pijem kiedy się bijem, pijem gdy się godzim; —
Pije człek nieszczęśliwy, gdy się już zubożył,
Pije pleban by liczbę nabożnych pomnożył. i t. d. i t. d. i t. d.

Albo:

Nie gęga gęś tuczona, nie gdacze kur tłusty,
Już teraz i plebanja, i kościół jest pusty. i t. d. i t. d.

Umiał też rozczulać się i wtedy to właśnie widno, że poeta; np. w téj piosnce, któréj tylko początek przytoczę:

Tu gdzie kwili ptaszek smutnie
Żałośnie mruczy zdrój,
Tu ja na jęczącéj lutnie
Wynurzę smutek mój. i t. d. i t. d. *)

W ogólności przypomina Karpińskiego, jak w wesołych Rajmunda Korsaka, osobliwie w tych pieśniach poematu Bibejdy, które w rękopiśmie czytałem. Zbiorku wierszy Onoszki, wydanego p. Panią Wróblewską, nie widziałem, przeto sąd mój o mim może być za wczesny.

Wszakże z pomiędzy wszystkich pisarzy, dwaj tylko zdają się zasługiwać na nazwanie narodowych białoruskich, o co nam właśnie najwięcéj chodzi. Franciszek Rysiński, autor mnóstwa okolicznościowych i ulotnych wierszyków, lekkich, wesołych, dowcipnych, w których myśl filozoficzna nieraz znienacka rzucona, z głębokiéj znajomości świata i ludzi poczerpnięta, uderza i do zastanowienia się mimowol-

*) Równie popularna na Białéj-Rusi, jak wiadoma piosnka *Lud. Kropińskiego*: *te brzoz kilka, ten zdrój wody*, i t. d. na Wołyniu i w Litwie.

nie skłania, — dowodzi i rzadkiego talentu i umysłu wspartego nauką i rozmyślaniem. Sam urzędnik, bo był Prezesem Izby Cywilnéj w Witebsku, należąc do obywatelstwa i przez posiadłość, — chociaż podobno rod jego z Ukrainy, — ścigał kostycznym językiem śmieszności swoich współbraci; okolicznościowe te wierszyki, w których nigdy niezabrakło sprężystości myśli, objawiały jakiś rubaszeński humoryzm, odcień komizmu, właściwego jednéj tylko średniéj klassie szlachty białoruskiéj; mając często na celu jakąś osobę powszechnie znaną, miały ogromne powodzenie i obiegały w ustach całą Białoruś. Stały się tak popularnemi, że nie znajdziesz domu, ni osoby na Białéj-Rusi, któraby choć urywku jakiego wiersza Rysińskiego na pamięć nieumiała. Był on werydyk, rznął ostrą prawdę każdemu, i urzędnikowi, i duchownemu, i współ-kolledze, i współ-obywatelowi, i przyjaciołóm i sąsiadóm, a nawet nieprzepuszczał i płci pięknéj, któréj był adoratorem. Rubasznym dowcipem trafił w żyłkę skłonności narodowéj i zlał się tak z myślami współbraci, iż zdania jego oderwane, weszły w wielu miejscach w przysłowie, jako mądrość prowincjonalna. Chociaż genjusz Rysińskiego nie czyni zadość wszystkim warunkóm czysto narodowego pisarza wszakże wielka jego popularność pozwala mu zasłużyć na to nazwanie. Niekiedy też przypomina Raj-

munda Korsaka, niekiedy Kajetana Węgierskiego *).

Dla pokazania ducha Rysińskiego i co go czyniło popularnym, przytoczę kilka probek choć w urywkach z tych wierszyków, które krążą w ustach, a w całości nigdy drukowane być nie mogły.

Np. prośba pewnéj Panienki proszącéj o męża u swego Patrona:

. . . . . .

. . . . . .

Nie proszę ciebie o deszcz lub pogodę,
Ni o pól żyżność, ni o mocarstw zgodę,
Ani się mieszam w intrygi oręża—
Mnie trzeba męża!

Pofolguj sobie nieźmiernego trudu,
W rządzeniu losem i ziemi i ludu;
Wysłuchaj twojéj żebrzącéj przyczyny—
Biédnéj dziwczyny!

---

*) Zupełnego rękopismu autora dobić się nie mogłem. Słyszałem tylko, że X. Missionarz *Korniłowicz*, miał kiedyś zająć się wydaniem wszystkich jego poezij w Wilnie. Ulotne wierszyki były drukowane w *Noworocznikach Wileńskich*, jak w *Nowor. Litewskim* p. H. *Klimaszewskiego*, i w *Zniczu Krzeczkowskiego*, jeżeli mię pamięć nie myli, tudzież kilka wierszy w Tomie II. *Rocznika Literackiego*, a jeszcze kilka ukaże się w Tomie III.

Zjednaj mi proszę u Pana nad Pany,
Ażeby chłopiec mną już ukochany
Był mojém szczęściem i moją zabawą —
Za twoją sprawą!

Ty widzisz serca mojego prostotę
Że gardzę złotem, kocham samą cnotę,
Spraw więc by panem był mojéj urody —
Piękny i młody!

Daruj o Święty Patronie, że śmiało
To ci wyznaję, czego mi się chciało,
A kiedyś dobry, domierz mojéj planty,
Tchnąwszy w Inflanty *)!

Panienka zaś rozgniewana taką daje odpowiedź za nieproszone psalmy w jéj imieniu pisane:

Na cóż te psalmy, psalmisto kochany,
Można świat odrwić, nie Pana nad Pany,
Nie chcę ja chłopca, ni starca, ni franta,
Ni intryganta!

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Daruj o Święty, jeśli się tak stało
Użyć twojego imienia dość śmiało,

---

*) Raj posażnych panien i bogatych kawalerów.

Nie te podobno, lecz inne są planty
Dmuchać w Inflanty *)!

Dziejopis w księgach życia tak zostawił:
Swięty Franciszek modlitwą się bawił,
A tu nam psalmy pełne batałaszek
Prawi wujaszek!

A więc potém nieukontentowaniu panienki, następuje moralna uwaga nad panienkami w ogólności, już nie za dobrych czasów Rysińskiego:

Starodawnych to dziewczyn wierszyki bawiły
Dopiéro zaś już innych prawideł nabyły;
Wiersz dla nich nie tak smaczny, z rozumem nie grają,
Na wysmukłych dzieciaczków tylko poglądają.

Nie w modzie Naruszewicz, nie ztąd już wiatr wieje,
Teraz dziewcze z chłopięciem młodziuchnym się śmieje,
A tych co czekoladą krzepią się, porterem, —
Bawią, jakby się bawiąc z rozumnym *Gruberem* **).

Oto jaka była filozofja-życia poety, który niedbał ni o bogactwa ni o urzęda:

Już siędę sobie w odludnym kurniku,
Za jedno z tobą Panie Dominiku,
Tam z tobą smutek i radość rozdzielę,
Nie wyjdę z domu, prócz na mszę w niedzielę.

---

*) Wujaszek snadź chciał nie za młodego, lecz za bogatego kawalera siostrzenicę wydać.

**) X. *Gruber*, Jenerał Zakonu X. X. Jezuitów, słynął z rozumu

Zrzeknę się parad z najmilszą ochotą,
Jeść będę z gliny, a chodzić piechotą.
Zamiast pałaców, będę miał chałupkę
I dobrym chlebem ładowaną ciupkę.
Nie wspomnę nigdy i o przeszłym świecie,
Na którym wszystko czart wie jak się plecie,
Uniknę żądzy, bogactw i honorów,
Długów się zbędę i zrzeknę się zbiorów.
A w tenczas kontent na własnym zagonie,
Spokojnie żyjąc, powiem przy mym zgonie:
„O przyszłe nię dbam, przeszłych nieżałuję,
„A los głupi" i t. d. . . . . .

Drugim był Mańkowski, naprzód Sowietnik w Mohilewie, a potém w Witebsku Wice-Gubernator,— jedynie zasługujący na nazwanie narodowego białoruskiego pisarza. W swojéj Enejdzie na iznanku, parodji w takim rodzaju jak trawestowana na niemiecki p. Blumauer'a, na małorossyjski p. Kotlarowskiego, na polski w części p. Chmętowskiego, — pod postaciami bohaterów rzeczywistéj Eneidy, maluje byt bogatych chłopów białoruskich; odjąwszy brak miejscowości, jest to czysto-narodowe białoruskie poema, z ducha i formy. Prócz tego, jest

w swoim czasie. Przy wielu wrodzonych talentach, posiadał obszerne wiadomości. Lubił malarstwo, muzykę, poezją, mechanikę; był genjuszem w swoim rodzaju. On to wymyślił głowę gadającą owego sławnego *Drewnianego Dziadka*, o którym wspomniał Chodźko w *Obrazach Litewskich*, a który posłużył P. Barszczewskiemu za treść do filozoficzno-białoruskiéj powieści.

to najdoskonalsze przedstawienie tego rubasznego dowcipu białoruskiego, który w formach języka klassy oświeceńszéj przejawił się w Rysińskim. Bliżéj od tamtego obznajomiony z bytem mieszczan i klassy rolniczéj, zostawił pomnik ducha, siły i najczystszych form narzecza białoruskiego. Dla tego wiecznie trwać będzie w pamięci narodu. Napisana przed 50 laty i nigdy nie drukowana jego Enejda na wywrót (nicowana), stała się bardzo popularną pomiędzy junacką szlachtą zaściankową; na wielkich jarmarkach w Czasznikach, Białyniczach, Chasłowiczach, Szkłowie, Homlu, w Połocku na Kraśniku *), i teraz usłyszysz przy wesołéj ochocie urywki z niéj, chociaż często tak przeinaczone, że ledwie typ oryginalny rospoznasz. Z przyjemnością powtarzają sceny, w których się narodowość pod greckiemi imionami przebija. Dotąd zatrzymałem w pamięci dwuwiersz, w którym poeta maluje bożka Eola, kiedy do siedzącego na piecu i łapcie plotącego, jak prawdziwy chłop białoruski, przybywa Junona, prosząc, aby burze na jeziorach podjął; jak skoro postrzegł boginię, —

Zatknuu za pojas *kacałych* **)
I zwaliusia s pieczki w odin mich!...

*) Tak nazwany z powodu *kraśnych nosów* jarmarkujących pod czas mrozów przed samem Bożem-Narodzeniem.

**) Jest to kościane narzędzie, którém łapcie plotą chłopi. Ten

Jak Mańkowski był przedstawicielem dowcipu szlachty uboższéj w Mohilewskiéj, tak Rysiński oświeceńszéj w Witebskiéj, dwóch gubernijach, składających właściwą Białoruś. Jeden był więcéj popularnym, drugi więcéj narodowym. Rzecz szczególna, że ni o Mańkowskim, ni o Rysińskim, ludziach tak powszechnie wiadomych, ile mi wiadomo, dotąd ni słowa nigdzie nie napisano.

Całkowitego rękopismu też dobić się nie mogłem. Pozostała wieść u krewnych, jakoby autograf znajdował się w ręku obywatelki P. Dyszlewskiéj. Udzielenie tego rękopisu do druku, którym sami chętniebyśmy zajęli się, zasłużyłoby na powszechną wdzięczność. Prócz interessu obyczajowo-literackiego, a zatém względu historycznego, łączy się tu jeszcze niezmiernie ważny wzgląd filologiczny, jako ciekawego pomniku języka, którego prawie żadnych śladów piśmiennych niepozostało.

Ale przejdźmy do bieżącéj Literatury. W obecnym momencie z pojawieniem się zbiorowego pisemka Rubon, otwiera się nowy szereg imion, dotąd wcale nieznanych, tych młodych ludzi, których ojcowie wierni wspomnieniom Miesięcznika Połockiego pozo-

---

wyraz zdaje się dowodzić, że Mańkowski pochodził z okolicy Zadźwińskiéj; w Newlu bowiem, i innych powiatach w téj stronie położonych nie używają go: tam mówią: spica.

stali. Redaktor jego P. Kaz. Bujnicki, obywatel Inflancki, w okolicach Krasławia, w Dyneburskim, we czterech dotąd wydanych tomikach, dowiódł swych prawdziwie obywatelskich chęci. Przedewszystkiem główną jego myślą było zjednać swéj stronie to dobre imie, którem się dotąd nie szczyciła pod względem Literatury, w obliczu innych prowincij naszych. Obudzić myśl uspioną, zwrócić młodź do pióra i książki, a piszących do rzeczy swojskich, domowych,— piękny cel, zaiste! Już okazały się piękne owoce tych usiłowań, szkoda tylko, że szlachetny cel przez ogół obywatelstwa, równie jak przez krótko-widzącą krytykę pojęty niezostał. Pisemko dla braku prenumeratorów, ledwie się utrzymać może; wszakże wytrwałość wydawcy, zapowiada pokonanie tych nieodłącznych przy początku przeszkod.

P. Bujnicki stał się u nas wiadomym p. wydanie Wędrówek po małych drogach, szkicu satyryczno-obyczajowego fiziognomji rodzinnéj strony. Niedołęstwo i śmieszność dość dowcipnie niekiedy, choć podtatusiałym sposobem wyśmiane. Niektórym zamarzyło się upatrywać w charakterach występujących na scenę, własne wizerunki. Siaki taki, nawykły prowadzić rej na sejmikach, poznawszy siebie w jakim Głoskowiczu, zrobił dywersją anti-literacką dla powodzenia Rubona. Pierwsza to i najlepsza praca P.

Bujnickiego, prócz pewnéj wartości literackiéj, mająca zasługę poprawy obyczajów. Castigat quos diligit! Bo też w najprawdziwszém znaczeniu wychłostał tych, których kocha! — Pamiętniki X. Jordana, romans pisany z celem moralnym, możnaby jeszcze nazwać powieścią obywatelsko-inflancką, bo jak w Wędrówkach, dzisiejsza szlachta białoruska, tak w Pamiętnikach dawna inflancka, o któréj wspomina i niewspomina historja, występuje na scenę. Lecz historyczna kanwa jest tutaj względem podrzędnym, a główny stanowi utopiczna moralność, którą trybem francuskim autor przedstawia w epizodzie Roazy. O tę Roazę, dziewczynę z lasów, któréj autor nigdy nie widział, rozbiła się prawda artystowska. Śmiesznemi są w oczach naszych te frazy, w ustach dzikiéj dziewczyny, natchnione sentymentalizmem marmontelowskim. Bohater i bohaterka, są deklamatorami, jak bywało w romansach Pani Cottin i Żanlis. Utwor naciągany do celów moralnych — i dla tego chybiony. Głośny pisarz satyrycznych szkiców, potrafiwszy schwycić tylko charakter miejscowy towarzystwa, nie dopełnił jeszcze wszystkich warunków, jakich po pisarzu czysto-narodowym wymagamy. Szanowny autor nie weźmie nam za złe tego, co mówiemy, bo jego szlachetne usiłowania aż nadto dają mu prawo do powszechnéj wdzięczności obywatelstwa i Literatury.

Prace Hrabiego Michała Borcha, zdają się mieć na celu dawną Białoruś. Historyczność jéj starał się przedstawić w sztuce pod formą romansu, w żywocie Połockiéj Księżniczki Przydzisławy, w Zakonie Ś. Eufrozyny, któréj dwa tomy w rękopiśmie przeglądałem. Mozolnéj téj pracy, przedstawiającéj dziwne połączenie względów historycznych z religijnymi, nie umiem dać innego nazwania, jak powieści erudycyjno-ascetycznéj, będącéj wcale nowem zjawiskiem nie tylko w naszéj, ale pono i w Europejskiéj literaturze. W notach zgromadził Hrabia wielką ilość faktów i objaśnień, mało albo wcale nieznanych, których mu dostarczyła biblioteka prelska (w Dyneburskim) obficie w analistów i rzadkie rękopisma opatrzona. Trzeba wszakże i to przyznać, iż prócz barwy ascetycznéj, przebija się i usposobienie poetyckie, mimowolnie podnoszące się z pod mozolnych badań autora Dziejów w Legendzie, z których parę wyjątków publiczność czytała w Tygodniku Petersburskim, a jeden w Tomie II Rocznika Literackiego.

Broszura o poszukiwaniu nazwy starodawnéj Dzwiny wykazująca tylko z najlepszéj strony cierpliwość w osobie tak arystokratycznego rodu, przez straszliwy zastęp Skilaxów, Timeaszow, Eratosthenesów, Artemidorów i innych peryplow, którzy na 360 lat przed Chrystusem pisali! Bezpło-

dny owoc brzmiącéj erudycji... Ogólny rezultat, iż prace Hrabiego będąc uczone i z moralnemi celami, w formach francuskich romansów pisane, chociaż mają związek z polityczną Historją Białejrusi, narodowemi nie są, bo są i pozostaną zawsze obcemi ogółowi.

P. Adam Hrabia Plater w Krasławku, w Dynenburskim, miłośnik Starożytności, zbiera pomniki wyłącznie odnoszące się do Historji Inflant, i obecnie pracuje nad historją Dyneburga: prace jego czysto-erudycyjne zbliżające fakta, bez hipotez i związku z sobą, są przygotowawczemi materjałami dla pisarza Dziejów, który się jeszcze nieznalazł.

O innych pisarzach, z tego stanowiska, z jakiego rzecz naszą rozważamy, cóż powiedzieć można? Jakiż związek z Białorusią mają np. rymy P. Aleksandra Spasowskiego, którym podobne pisały się kiedyś (bo dziś się nie piszą, dla braku czytelników), na wszystkich końcach ziemi, gdzie były szkółki i Sztambuchy? Albo np. klassycznie wymuskana Psycha P. Gaudentego Szepielewicza;— cóż mogą obchodzić poczciwego Białorusina awantury mythologicznéj bogini? Zaiste, tyle co i Orestes Mihanowicza, albo Połtawa Muśnickiego! A prawdziwie nie warto łamać sobie głowę i palcy, nad wyrobieniem pięknych oktaw — dla przedmiotu nieobchodzącego bynajmniéj ni rodzinną stronę, ni literaturę. Mamy nadzieję, że za-

powiedziane przez tego autora poema Obłąkana okaże mniéj klassycyzmu, a więcej ducha miejscowego.

Tknęliśmy zbliska kwestji narodowości, bo odkogoż, jeżeli nie od tych, co się zrodzili i zrośli w swéj ziemi, mamy prawo spodziewać się dokładnych o niéj pojęć, przejawienia i rozwinienia jéj ducha w przeszłości i teraźniejszości? Ta ich niedbałość jest powodem, iż Białoruś w innych prowincjach, albo po obcych dziennikach *), mają za stronę zapadłą, ciemną, obskurantyzmem Alvara dotąd tchnącą. Piszą klassyczne poemata, sztambuchowe wierszyki, jakieś Dramata-Dziwolągi, a nie wiedzą jaką jest ziemia, co ich wydała i lud, śród którego się zhodowali! Jakąż stroną, choć najdalszą, dzieła ich w czémkolwiek czepiają się pełnéj poetyckich zmyśleń i fantazij Białejrusi??...

Będąc tylko przejazdem na Białejrusi, zdziwiony zostałem tém zapomnieniem na siebie samych jéj pisarzy, a przeto choć obcy téj stronie i mając najniedokładniejsze pojęcia, postanowiłem cząstkę moich wiadomości o niéj w jedno zebrać, rozdzielając je na statystyczne i literackie w dwóch osobnych artykułach, szczerze pragnąc aby mój pobieżny zarys wywołał dokładniejszą pracę.

---

*) *Moskwitianin.* 1843.

Przybysz z Ukrainy, P. Aleksander Groza piękny dał przykład przejawiania poezji gminu. Z oderwanych podań ułożył pewną całość, a okolorowawszy ją barwami poezji i formami miejscowemi, utworzył bardzo ładny poemacik, mający więcéj charakteru narodowości, niż wszystkie poezje dotąd w owéj stronie napisane. Prawda, że wziął się za to sztukmistrz biegły, mistrz swego przedmiotu!

Jest jeszcze poeta, urodzony na Białejrusi, dziécko niefortunnego losu, wyprobowane w cierpianiach,— który w każdym wierszu wyraził tęsknotę za swemi i silne przywiązanie do rodzinnéj ziemi. T. Łada-Zabłocki przejawia uczuciową stronę Białejrusi, bo żaden ze znanych tam dotąd wierszopisów, nigdy tyle nie okazał poezji serca. Przedewszystkiem jest on Poetą serca. I na ten raz możemy wierzyć jego poezji, bo całe życie był nieszczęśliwym! Tu ani exageracji, ani urojonych cierpień. Nieszczęście rozwinęło w nim uczucie i skłoniło ku poezji. Talent wielki wytrawiony w ogniu cierpienia. Trzeba bowiem cierpieć, aby zostać genjuszem! Ukształcony na wzorach poezji Europejskiéj, może skutkiem tego stracił wiele z téj samodzielności, która przy innych okolicznościach uczyniłaby go prawdziwie narodowym poetą. Przygotowany gruntowną nauką w Uniwers. i znajomością języków angielskiego, niemieckiego, francuzkiego, oraz języków wscho-

dnich, można powiedzieć, iż zbliżył się do tego wzoru poety, jaki Henryk Hrabia Rzewuski dla młodzieńca zakreślił *). Ze stroną rodzinną łączy go raczéj wyobraźnia i uczucie, niż pamięć domowych obyczajów. Talent jego ukształcony na Bajronie, Szyllerze i Moor'ze, melancholijnym Moorze, Bardzie opłakanéj Irlandji, którego zdaje się przedewszystkiem ulubował sobie, jako trafiającego najwięcéj do jego duszy goryczą przepełnionéj, i którego w tylu naśladował elegjach, — naturalnie musiał przyjąć charakter poezji europejskiej. W młodości napisał poema opisowe Okolice Witebska, bo wtedy była moda na poematu opisowe, jak Góra Odyńca i t. d. w którém wylał egotyczne uczucia jak w strofie XXII i t. d. Widne w niém wczytanie się w Jana Kochanowskiego, z którego prostoty coś zajął. (Strofa V.) Ledwie kilka wierszy miejscowych zostawił, jak: Do Dzwiny, Jezioro

---

*) Poeta musi być moralistą i filozofem... A nadewszystko niech się przekonać zechce, że już dziś nie można być poetą, bez wielkich, głębokich, pracowitych nauk: że poezja, jest objawieniem ducha narodowego w najnadobniejszym jego żywiole, wszystkich zajmującym: a nie wypaplaniem swoich osobistych wrażeń do żadnéj ogólności nieodnoszących się, a które, co najwięcéj żonę tylko i dzieci piszącego obchodzić mogą, jeżeli jest żonatym, a jeżeli nim nie jest, kilku półgłówków cieszących się widząc wyrymowane myśli, podobne do tych, które z ich mozgownic wylęgają się."

Dołżańskie i t. d. Ale najwyższa siła objawiła się w Poezjach za Kaukazem pisanych. Styl jego dowodzi wykształconego gustu i poczucia artystycznego delikatnych odcieni mowy naszéj. Nieznać, że na krańcach języka polskiego pisać począł; kochanka wszakże poety ma imie Natalja!... *)

Od saméj poezji przejdźmy do przejawienia się filozoficznych pojęć o poezji w literaturze białoruskiéj. Najważniejszą jaką znam pod tym względem pracą, jest rosprawka P. Ignacego Chrapowickiego wywołana jak się zdaje Rubonem i do jednego z następnych tomów przeznaczona, a którą w rękopisie czytałem. Jest to piérwszy samodzielny filozoficzny pogląd na poezją ludu białoruskiego, piérwsza oznaka zbliżenia się narodu do uznania się w istocie swojéj poezji. Praca ta przedstawia całkowite objęcie ogółu, wniknienie do gruntu i wyprowadzenie na jaśnią poezji pieśni; extrakt głębokich badań i najśmielszych wnioskowań o poezji gminu. Najróżnorodniejsze elementa poezji ludu zbliżone, rozłożone i podprowadzone pod przestronny rzut oka umysłu samodzielnego. Do potęgi myśli, zatrawionéj wielostronném ukształceniem, łączy P. Chrapowicki tę promienność sty-

*) *Zbiór poezij* T. *Lady-Zablockiego* wyjdzie w Petersburgu na początku r. 1845, staraniem Wydawcy *Rocznika Literackiego*.

lu, która pracę jego jakimś urokiem otacza. Piérwszy to raz widzę w pisarzu białoruskim zwrót myśli ku przedmiotowi, który każdemu pod oczy podpada, a o którym rzadko kto parę słów rozsądnych powiedzieć umie. Pospolicie wiemy o wszystkiem, prócz tego, co nas najbliżéj obchodzić powinno. Wiemy co mówią w Parlamencie Angielskim lub w Izbie Deputowanych,— w salonach rozumujemy z Miss Trollope lub P. Tocqueville o obyczajach Amerykanów, a z P. Chevalier o drogach żelaznych, a nie umiemy trzech słów powiedzieć o stronie, która nas zrodziła i wykarmiła. Praca ta jest ogólnym rezultatem tego ruchu intellektualnego, jaki się od lat kilku w prowincji Nad-Dzwińskiéj objawia. Ponawiamy prożbę, aby wydawca Rubona dłużéj nie zwlekał ogłoszenia téj ciekawéj, z takim ogniem napisanéj rosprawy, po któréj przedmiot poezji gminnej białoruskiéj, zdaje się, że zostanie wyczerpanym. Prócz tego P. Chrapowicki zajmuje się obecnie ułożeniem kompletnego Pieśnio-Zbioru białoruskiego, którego ogłoszenie drukiem byłoby arcyważném *).

---

*) W liście adressowanym do mnie d. 10 Stycznia 1844 (z *Kochanowicz w Dryzieńskiem*) na proponowane wydanie *Pieśnio-Zbioru*, tak się wyraża autor o swoim planie: „Właściwe uszykowanie pieśni gminnych po stosownem ich rozgatunkowaniu, przynio-

Dla uzupełnienia obrazu ruchu umysłowego na Białejrusi, powinniśmy dodać, iż oprócz piszących, są i inni pracownicy, nie mniéj użyteczni zbieracze materjałów, tu i ówdzie rosproszeni, jak P. Aleks. Obrąpalski, Wincenty Gozdawa Reutt, P. Szymon Weryha, młodzieniec ożywiony najszlachetniejszemi zamiarami, zakładający obecnie Czytelnią ksiąg polskich w Witebsku, P. Józef Żaba z Szsza, oddawna troskliwie zbierający rękopisy do Historji Białejrusi i którego księgozbior znany jest w okolicy. Na miejsce P. Czeczota, który opuścił Lepel, przybył P. Tomasz Zan, któremu lustracyjne zajęcia, zapewna nieprzeszkodzą do zwrócenia uwagi na białoruską narodowość. Człowiek dobry i ukształcony umie i powinien umieć ze wszy-

---

słoby nie małą korzyść, ułatwiając badania, jakowych one mogą stać się przedmiotem. Wiadome dobrze są skutki téj metody w poszukiwaniach historycznych, tudzież w innych studjach. Lecz nie mała trudność w uszykowaniu. Rozklassyfikowanie na pieśni *historyczne* (jeśli takowe pokażą się), *obrzędowe*, *wiosenne*, *letnie*, *dumy* i *przyśpiewki*, jak przychodziło mi uprzednio na myśl do niczego nie doprowadzi. Jeden tylko podział byłby prawdziwie racjonalny, podział odpowiadający trzem głównym politycznym przemianom zaszłym w dziejach prowincji. Ogromnyby z tego niezawodnie wynikał użytek" i t. d. Ze swojéj strony przyłożymy usiłowania, aby ważna ta praca jak skoro zostanie ukończoną, wyszła na widok publiczny. Bardzo pożądaną byłoby rzeczą, aby szanowny autor *Pieśnio-Zbioru* załączył obok w notach muzycznych motywy tychże pie-

stkiego, co go otacza korzystać i na użytek współbraci obracać.

Zbyt żywe zaprzątnienie pisarzami, ukośnie dotyczącemi naszego przedmiotu, odwiodło nas od głównego celu, któryśmy sobie założyli, i dla tego pośpiesznie obracamy się do głównéj osoby, która ma być bohaterem, ma być Lwem naszego artykułu.

Jan Barszczewski urodził się w r. 1794, na Białejrusi, nad jeziorem Nieszczorda, na granicy Newelskiego i Siebieżskiego powiatów, i wyszedł z téj licznéj acz biednéj szlachty, która nie wiedząc o sobie, nie mając uznania saméj siebie w swojéj istocie, posiada najwięcéj żywotnych elementów narodowych, przechowuje z niezgładzonym cywilizacją charakterem,

---

śni. Byłoby to najwłaściwsze miejsce dla pokazania charakterystyki melodji białoruskiéj, która ma tak wiele śpiewności i melancholji. Wynikłyby ztąd nieobrachowane korzyści dla wyrobienia muzyki narodowej, kióra wsztuce objawia się dziś przez operę. Skądże *Weber* poczerpnął swe najpiękniejsze chory do czarodziejskiéj kompozycji *Kinda?* Skąd *Liszt* i *Szubert* swego *Erlkönига*, równie jak i balladę swoją *Goethe?* Skąd nareście *Meyerbeer* najpiękniejsze motywy w swoim *Robercie-Djable*, którym dotąd nadziwić się nie może Europa? Trzeba aby kompozytorowie lepiéj zrozumieli swój własny interes; sztukmistrz jakby nie był genjalnym, nie utworzy tak swobodnéj melodji, jak człowiek natury, w chwili natchnienia. Najwyższe przejawienie muzyki uczonéj, *Mazury Szopin'a* są tylko olbrzymiem pokonaniem trudności sztuki; małej liczby wybranych ucho, pojmie ro-

najwięcéj narodowych pamiątek. Uboga ta klassa szlachty, mająca tak bliski stosunek z klassą ludu wiejskiego, iż prawie zlewa się z nią w jedno — przedstawia w sobie przejście i połączenie tych dwóch stanów — którym nasz pisarz swe pióro poświęcił. W szeregu mnogich powieści, malował byt obu tych klass, z całém uczuciem poetyckiego serca, z tém uczuciem któremu całe swe życie poświęcił. Trzeba bowiem wiedzieć, iż całe życie P. Barszczewskiego jest jedném i ciągłem zaprzaniem się samego siebie — dla poezji!...

Jeszcze w Połocku, w kollegjum Jezuitów, będąc małym chłopięciem, już pisał wiersze, za co wcześnie na przydomek Wierszopisa zasłużył. Tam przy każdéj uroczystości występował z wierszem, z oracją,—

---

skosz téj skomplikowanéj harmonji; dla ogółu ona pozostanie obcą na zawsze — dla dilletantów, póki nowy mistrz, nie wzniesie nowe kombinacje tonów.— Idea poetów białoruskich przejawienia narodowości w sztuce zaczyna się objawiać i u muzyków. Oto znany w stolicy z muzykalnego talentu P. *Antoni Abramowicz* wziął przed się myśl rzuconą przez nas w Iszym Tomie *Rocz. Liter.*, i od kilku melodji białoruskich położonych na nóty, przyszedł do pomysłu utworzenia muzykalnego poematu w duchu śpiewów ludu, mającego za przedmiot *Wesele białoruskie*. Wszystkie części obrzędowe tego aktu, mają tam swoje tłumaczenie muzykalne, a nad wszystkiem unosi się myśl rzewna, tęskna,— to smutna, to wesoła na przemian — jako dusza narzeczonéj, rozczulona obecną chwilą i marząca o niepewnéj przyszłości,— myśl która dla Muzyka-Poety przedstawia pełen u-

tak, że była to figura odświętna, uroczysta, nie raz do godności laureata podnoszona. Wtedy to napisał znamienite poema o Pasie Wenery, w którém narzekał na brak miłości w nowsze czasy, a wymuskawszy ją na wzór klassyczny, pozyskał oklaski współtowarzyszów.

A gdy pod czas wakacji, wracał w progi domowe, między szlachtę okoliczną, tenże sam szatanek poezji, objawiał się pod inną formą: wtedy brał się za pędzel, malował widoki i karykatury, a stosując swój talent do pojęć otaczającéj go sfery i potrzeby miejscowéj, wymyślał rubaszne obrazy, na wielką pociechę szlachty zaściankowéj. Za to był od niéj lubionym powszechnie, i żadne fety domowe, żadne imieniny, urodziny, złote i srebrne wesela, nie obeszły się bez naszego Oratora i Wierszopisa. Biednego bursaka szlachta porywała z rąk do rąk i wynagradzała podług ubogiéj swéj mo-

---

roku przedmiot. P. Abramowicz rodem Białorusin, biorąc się za przedmiot wcale nowy u nas i dotąd nietknięty, jeżeli go poprowadzi dobrze, może stworzyć rzecz wcale oryginalną i zająć wyłączne miejsce w kosmopolitycznéj muzyce europejskiéj. Wyjątki, któreśmy słyszeli, zachwyciły nas równie jak wszystkich słuchaczów, ziomków Kompozytora, którzy o prawdzie melodji narodowych najlepszy sąd wydać byli w stanie. Kompozycja ta, któréj na ten raz inaczéj nazwać nie umiemy jak *poematem*, będzie pomieszczoną w 3cim Tomie *Rocznika Literackiego*, na r. 1845.

żności, to miarką pszenicy, to miarką grochu, to gryki, to czasem dała bobu! To było jedynym środkiem wyżywienia się dla biednego studenta pod czas szkolnego roku w Połocku. Wesołe, typowe familje szlachty zaściankowéj w ogromnych okolicach Arciejkowiczach, Miežowie, Hołowczycach, Hołubowie, których i dziś napotkasz w samotkanych kapotach po jarmarkach i odpustach, jak Załęscy, Uswojscy, Przełęscy, Jurahi, Siwochi i t. d. dostarczały jego obserwatorskiemu duchowi tych typów, które późniéj w powieściach tak malowniczo wystawił. We wszystkich możniejszych domach Białejrusi i Inflant, razem wziąwszy nie znajdziesz tyle podań, tyle żywiołu narodowego, co w jednym domku takiego szlachcica na zagrodzie! W tedy to napisał w rodzinnéj wsi Morohach ów sławny po całéj Białejrusi wiersz Rabunki Mużykou, który do poematów narodowych zaliczono, a o którym prócz owéj szlachty nikt dotąd nie wiedział, iż był dziełem Barszczewskiego. Poemat ten, jeżeli się tak podoba, pomnik Białoruskiego narzecza, narówni z Mańkowskim stawi go na czele prawdziwie narodowych białoruskich pisarzy. Wiersz ten, — tak popularny w gubernji Witebskiéj, jak sentencje rymowane Rysińskiego, — zakres artykułu niepozwala nam przytoczyć w całości *). Prócz

*) Ale dla pokzaania rubasznego dowcipu, jako charakte-

tego ułożył piosenkę: Da czimże twoja Dziewońka hałouka zaniata? bardzo popularna teraz, napisana w Morohach, z powodu umizgów do młodéj Panny Maximowiczówny, kiedy jeszcze będąc studentem, około r. 1809, miał nie więcéj lat 18. — Kiedy układał, nigdy nie myślał o drukowaniu. Układał, bo to cieszyło szlachtę w okolicy, w któréj mieszkał. Uswojski, Łotyszewicz i inni rozwozili po jarmarkach, śmieli się, śpiewali i chwalili.

---

rystykę strony, przyłączemy parę wyjątków z tego wiersza, napisanego z okoliczności wiadomego w okolicy wypadku, w majątku P. *Malinowskiego*, w *Sznitowkach*, o wiorst 50 od Połocka, w roku 1812.

Rabunki Mużykou.

Jak prancuskaja siła
Iz za Dzwiny nastupiła,
Nam stała karcić
Cztob paradak priwracić.
Adnakaż siadzieli cicha,
Asz tut prinosić licha
Prancuzou u nasz dwor,
I nutka dziełać zdor.
Kleci paraźbiwali
Panou naszych zahnali,
Nas kazali paźbirać
I harełku pić i brać.

Po ukończeniu kursów w Połocku, z atestatem kandydackim w ręku, czując się czymś lepszym od innych, uchodząc za uczonego, wolał zająć się prywatną guwernerką, niż innemi obowiązkami mniéj zgodnemi z jego upodobaniem w nauce i poezji. Wszakże i tu nie widząc przyszłości, ni środków kształcenia się daléj, z kilką złotówkami w kieszeni, piechotą, z tłómokiem na plecach, puścił się do Wilna, do Uniwersytetu; ale na pół drogi, odpoczywającego pod

---

Prancuzy nas pachwalali
Ob naszym kraju upouniali,
I na mihi nas prasili
Kab my s nimi dwor łupili.
I my douha tam hulali
Czto chacieli pili, brali.
Tot brał płacja na wiarouku,
Czym abszyć żonki sznurouku,
Cyny, miedzi skolko moh,
Czym ablić dudu i roh....
Inszyj bydło zanimajeć,
Druhij adzienie chapajeć,
Inszyj tolko jeść i pjeć,
Druhij szabloj kury bjeć.
. . . . . .
Kali użo tak hulajuć
Paczuli, s puszek strelajuć,
„Halon! halon!" zakryczali

kamieniem, spotkał go P. Podsędek J.* wracający z Wilna, a widząc zamiar za nadto hazardowny na stan jego kieszeni, namówił do powrótu, i dał mu miejsce w swoim domu przy dzieciach, uważając go raczéj za domowego przyjaciela, rezydenta,— jako człowieka mównego, który był mu dystrakcją przy gospodarskich zajęciach. Potém dostał się do domu Księcia R.*, a nareście, palony pragnieniem poznania świata i ludzi, puścił się do Petersburga z kilkunastą rublami w sa-

---

I usie z dworu, wysypali.
U *Klassicach* o dzwie mili
Krwawuju wajnu czynili.
Jak Prancuzy wyszli sami
Mużyki byli panami.
I kali tak pahulali
Radu sabie układali.
Pierszyj Minka *) sieu za stoł,
U kuty hladzić jak sakoł,
Na kreśli hdzie siadzieu Pan,
Puza jak baraban.
A nohi jak razapnieć
Choć s kalosami prajeć.
— Pomniu ja tyje wieki

---

*) Lokaj P. *Malinowskiego*, który najwięcéj dokazywał w tych rozruchach, potém powieszony w Sznitowkach.

kiewce. Przyjął go tam ziomek, kollega i przyjaciel P. Gaudenty Szepielewicz, jedyna żywa dusza, którą znał w ogromnéj stolicy. Po niejakim czasie popukawszy tu i ówdzie, popatrzywszy na zuchwałe twarze łokajów, znalazł zręczność odbycia kilku morskich wojażów, widział brzegi Francji i Anglji, a powróciwszy do stolicy, zajął się dawaniem lekcji greckiego i łacińskiego języka w kilku rządowych zakładach; raz się zdarzyło, że uczył po łacinie jakąś Hrabinę, do Włoch jadącą. Zimą uczył się sam i uczył drugich, a na wiosnę, jak skowronka, poezja gnała go do stron ro-

---

Jak żyli panou predki,
Nas u niekruty nia brali,
Ach! szto za Pany bywali!
Chać na łbie wałos i niet,
Da użoż usy na uwieś świet!
Dwa rukawa mieli krasnych
I jeszcze dwa z zadu zapasnych,
Z adnéj poły u tych panou
Siemioro paszyu sztanou!
A hety i nas pajeli,
I sami użo zhaleli.
Pały sabie pabrezali
Chwasty s zadu padsiekali,
I ciapier użo usiakaj
Kusaj z zadu. i t. d.....
. . . . . .

dzinnych. Odbywał te podróże pieszo, z kijem pielgrzymim w ręku. Odwiedziny te ożywiały stęsknioną duszę jego, dawały mu nowe siły do dalszych walk z losem, inspirowały go tém tchnieniem poezji tęsknéj, którą czuć może człowiek tylko w oddaleniu od swoich. W tych wycieczkach zbierał podania, które późniéj w balladach przedstawiał.

Literacki zawod rozpoczął P. Barszczewski wydaniem Niezabudki. Niech nikt nie sądzi, aby Noworocznik ten był objawą estetycznych pojęć wydawcy; zaczął go wydawać z celem, który od niejakiego czasu przyjęto nazywać obywatelskim; ani tu miłość autorstwa, ani spekulacja, którą się brzydzi bezinteressowny duch jego, powodem być nie mogły. Tajemnicę słabéj strony Niezabudki pojmą tylko wydawcy, równie jak on, wszelkich środków wydawania pozba-

---

Prydziesz u dwor, baiszsia
Pakul k' Panu zbliżyżsia
Dołha haławu skrabiesz....
. . . . . .
Jeszczeż heta nie kaniec
Pałażysz na stoł jajec,
I tut jeszcze strach biareć
Żdać szto Pan zapiajeć...
. . . . . .
Puść mnie choć pabjuć sztany,
Da użoż nia buduć Pany! i t. d. i t. d.

wieni... tajemnica mogąca obrazić próżność i mierność... Wszakże Niezabudka znalazła pewny krąg Czytelników, zaczynających po omacku dopytywać się czegoś w literaturze; gdyby nie zrobiła innéj zasługi, jak że obudziła pewne małe dyskursy zaściankowo-literackie w tych domach, gdzie prócz Kalendarza żadnéj książki nieznano, to jużby nie była nie użyteczną. Osądzono ją trochę za porywczo jak na czasy dzisiejsze i miejsce... ona odkryła talent, którym się chlubi literatura powieściowa...

Ale do naszéj rzeczy, Niezabudka dotyka się tylko przez ballady, które mają znaczenie podaniowe. To znaczenie niedostrzeżone przez pozornie zapatrujących się, okaże się jaśniéj po wydaniu wszystkich opowiadań białoruskich. Są one jakby wstępem do tego poetycznego obrazu Białejrusi, który autor na większą skalę rozwinąć zamierzył. Wypłynęły one z naturalnego usposobienia umysłu, przeczuwającego odrodzenie się nowych form poezji, po długiem więzieniu klassycyzmu, bo kiedy cały świat zrobił odwrót od form starych, Barszczewski to w głuszy lasów, to na pokładzie okrętu, pozostawał wierny wspomnieniom Anakreona, Teofrasta, Wirgiljusza i t. d. Ballady posłużyły mu do rozkołychania wyobraźni; sam powiada, że gdyby nie pisał ballad, nie pisałby nigdy prozą. Ballady jego nie są wymysłem, jak zwykle u poe-

tyzującéj owczym pędem czeredy, a jak korzystał z podań obaczmy na przykładzie:

Wróżka Rusałka. Szlachetnego rodu Panicz zaręcza się z cnotliwą dziewczyną białoruską. Tymczasem dowiaduje się, że posażna Panna czeka na kawalera w Nowohrodzie. Jedzie, znajomi się, zaleca, i powraca obciążony bogactwy. W drodze zachodzi mu Rusałka z lasów, opiekująca się zapomnianą kochanką i wystawia go na czarodziejską tentację. Jawi się w postaci opuszczonéj naddźwińskiéj dziewicy i wyrzuca na oczy wiarołomną miłość; opowiada, że latając w postaci gęsi do Nowohrodu, widziała tam jego niestałość: malownicze jest to miejsce, gdzie opisuje swoją podróż: biedna sierota w polu, obraca się do swoich gąsek, i prosi o pomoc skrzydlatych:

„Gąski, gąski! tę piosenkę
Prosząc piór, śpiewam ze łzami,
W wasze piórka jak w sukienkę
Ja ubrana lecę z wami!"

Gąski widząc łzy w mém oku,
Piór rzuciły z pod obłoku *).

*) Husańki, lebiodańki
Skińcia mnie pa pioruszku
Ja z wami paleczu. i t. d. i t. d.

Gąski ulitowawszy się trzykrotnie zrzucają po piórku; ona ubiera się i leci; zbliżywszy się do bram miasta, postrzega jaskułkę i prosi u niéj o żałobną sukienkę: Jaskułka nie odmawia:

I ja w czarnéj téj żałobie
Przyleciałam pod dach k' tobie!

Lecz żeby wlecieć do teremu, zamienia się w muszkę:

Muszką wlatam do pokoju
Serce było w wielkiéj męce;
Widząc ją w bogatym stroju, —
Tyś się klął całując ręce,
Że twa miłość wiecznie stała,
Ach! jam wtenczas umrzeć chciała.

Kończy się tém, że mniemana kochanka zamienia się w Rusałkę i wyznaje, że go uwiodła:

Jam Rusałka — czarownica
Cha - Cha! cha - cha! bravo! bravo!

Albo w balladzie Zdrój dziewiczy. W borze pod Połockiem, jest strumień, pod nazwaniem dziewiczyj ruczaj (albo kałodzież) dotąd znany u ludu. Na weselu rozkochanéj pary, jawi się czarownik: gdzie ra-

dość, gdzie wesele u ludzi, tam zły duch czuwa u progu: jawi się i zamienia pana młodego w Wiłkołaka, gości w Wilków, niewiasty w Sroki, a Pannę Młodą w Kukawkę. Z chaty zatém wszystko wynosi się w pole, do boru: tam latając za swoim narzeczonym, żałościwa kukułka, urania łzy, — a gdzie padną, wytryska zdrój w borze, — a w około zdroju wyrasta ziele, kukuszkiny slozki, łzy kukułki zwane *).

Któż nie przyzna, że w tych prostych opowiadaniach ludu jest żywa poezja? Każda ballada jego wzrosła na podobnych podaniach.

To, co pisze P. Barszczewski prozą, nie dotycze się wprost ani Historji, ani Literatury, ani języka Białejrusi, ale rzeczy ważniejszej, bo ducha i poezji narodu, zkąd wypłynęła i Historja, i Literatura i język. Chwycił się najżywotniejszej zasady, i postanowił przejawić w sztuce wielki narodowy obraz. On ma lud przed sobą, często z całym urokiem wymysłow z czasów pogańskich, które on opromienia swoim, że się tak wyrażę, białoruskim hofmanizmem. Jak w balladach

---

*) Na Litwie zowią je *Ziaziula*, na szerokich listkach czarnonakrapiane plamki, po mokrych miejscach kwitnie z konwalją.

starał się przejawić stronę uczuciową poezji narodu, tak w opowiadaniach twórczość jego i niby jakąś filozoficzność pojęć o bycie, powleczonych własną jego fantazją. W tych opowiadaniach, które mylnie podobało się nazwać powieściami (ale mniejsza o metafizyczność wyrażenia) samo tylko jądro należy do gminu, cały obraz jest wymysłu autora, wysnutym na tle barw narodowych np. w opowiadaniu Wąż wylęgły z koguciego jaja, jest piérwsze pojęcie o stosunkach bytu: wąż jest allegorją zwodziciela; uwodzi żonę temu, który go wynosił pod własną pachą; tentuje go pieniędzmi, aby sam skorzystał ze słabości białejgłowy i t. d., u ludu nie masz wymysłu bez pewnéj myśli dalszéj, tylko często trudno ją odgadnąć osobliwie nie znając obyczajów jego. P. Barszczewski nie jest zbieraczem podań, lecz przejawiaczem ich w sztuce. Wszakże zatém nie idzie, aby ktoś drugi nieużył jego opowiadań jeszcze raz za materjał do odtworzenia. Pod względem sztuki są one in crudo, niedostatecznie rozwinione, noszą cechę jakiegoś niedomówienia, co jest skutkiem jego improwizatorskiéj metody, bo co raz napisze, tak bez przemazania do druku podaje, bez zmiany ogółu i poprawy w szczegółach; w początkowych opowiadaniach, często zbyt jawne naciąganie wymysłu czysto-fantastycznego do ceów, do moralnéj nauczki, osłabia effektowość, wska

zuje niedostatek taktu artystycznego w obrobieniu, który się z wprawą rozwinie. Ma on szczególny talent do opisów przyrody strony rodzinnéj, które wszędzie tchną taką świeżością, taką prawdą, tak przenoszą w owe okolice, np. wstęp do opowiadań, gdzie obraz Szlachcice Zawalni *).

Z powodu jego metody opowiadania, zbliżonéj prawie do prostoty homeryczněj, nazwałbym go Rapsodem białoruskim. Nie cierpi on manjery nowéj (a może już i nie nowéj) szkoły francuskiéj, tak silnie potrzęsającéj biedne nerwy nasze. Kiedy się zabiera do pisania, on bierze Homera, — nie dla tego, aby naśladował Wieszcza Wieków (bo i przed nim nawet chce pozostać samym sobą!) lecz dla nabrania tchu, dla inspirowania się duchem prostoty starożytnéj: Odysseja naprowadza na tysiąc wspomnień jego życia, tak podobnego w swém tułactwie po ziemi i morzach, po miastach wielkich i wsiach, — do ubogie-

*) We wstępie do osobnego wydania powieści *Drewniany Dziadek*, zamierzamy załączyć obszerniejszy rozbiór jego powieściowego talentu, oraz wyprowadzić na jaśnią typy, które on poczerpał z towarzystwa białoruskiego. Są tam dwa pomysły: Student *Lucefuga* i *Dumny Filozof*, tak płodne, że mogłyby dostarczyć treści na kilkotomowe romanse modnym pisarzom francuskim.

go Rapsoda greckiego! Bo, jak już powiedziałem, całe życie P. Barszczewskiego jest jedném i ciągłem zaprzaniem się siebie samego dla poezji! Lecz aby zrozumieć dobrze co mówię, trzeba go znać osobiście, trzeba go widzieć z kijem pielgrzymim w ręku, tak jak ja go spotykałem w moich podróżach, pieszo, śród gminu białoruskiego, na płytach Dzwiny, w przydrożnych karczmach, na drożkach ledwo ubitych w lesie i na wielkich gościńcach! Trzeba go widzieć w Połocku i Witebsku, kiedy przybywszy pieszo z północnéj stolicy, otrząsając pył z obuwia, śpieszy z rodziną poczciwego szlachcica nieść modlitwy Przedwiecznemu w rodzinnym kościele. Wypieszczony krytyk nic w nim nie pojmie, zaiste!... Człowiek ten nie ma słów próżnych, nie ma okresów, jest treść sama. Brulon jego, czyli jak on sam nazywa rapturki pisane starodawnym charakterem, które wiecznie z sobą nosi w czapce, obok z tabakierą. Nie szukaj tam ortografji modnéj, ani długiego *j*, ani kreskowanego *é*; żadnych wygładzeń, poprawek, wstawek, — on rznie toporem z całym rozmachem ręki,— za to postacie wychodzą u niego typowe, obrazy w massach. Za to w nim nie masz tego ubóstwa wynalezienia, które ścisnąwszy w dwutomowém rozwodnieniu, często kropli treści nie wyciśniesz!

W opowiadaniach Barszczewskiego upatruję piérw-

sze przejawienie się ducha gminu białoruskiego, jak w rosprawie Pana Chrapowickiego piérwszą objawę filozoficznych pojęć o poezji tego ludu, a w Poezjach T. Łady-Zabłockiego uczuciową stronę białoruskiéj poezji w obecnéj chwili.

Missja Pana Barszczewskiego nie jest poślednią; jakkolwiek bądź, odkrywa on nową stronę, — zatém przyczynia się do rozwicia i postępu myśli.

Ale nie mogę lepiéj zakończyć mego artykułu, jak przywiedzeniem słów znakomitego pisarza, który w jednym poufałym liście tak się między innemi wyraża: „Pan Barszczewski okazuje się najdoskonalszym przedstawiaczem gminnéj fantastyczności i obyczajów ludu białoruskiego. Jestem pewny, że w swoim rodzaju nie ustąpi Soplicy. Zaczął on prozą pisać powieści: nie umiem ci zdać sprawy z wielkiego wrażenia. Wszystko tam po mistrzowsku wykonane pod pozorem największéj prostoty. Nie jest to prosty zbieracz podań ludu; ma wszelkie potrzebne do tego warunki. Białorusin zapalony, nie teraz, ale od samego dzieciństwa; z ludem całe życie przepędził; jego twarz opalona, nie gabinetowa, dowodzi człowieka czynu, nie spekulacji; wziął wychowanie od Jezuitów, ale mu to nieodjęło czucia i prostoty;— pełen prawdziwéj wiary w przedmioty swoich powieści, a to nie mały warunek, bo z wiarą każdy opis bez porównania żyw-

szy i prawdziwszy; całą Białoruś zna jak najdoskonaléj, bo ze trzydzieści razy piechotą ją obszedł i corocznie ją i teraz z Petersburga odwiedza, a wszędzie tam pożądany i mile przyjmowany, bo jak bard tamtéj strony opowiada ustawnie, — anegdoty, powieści sypie jak z za rękawa. Dziwny ma instynkt w obrabianiu podań, prawie nic swego nie dodaje, a wszystko jest jego własnością: bajka goła nie miałaby żadnéj wartości, ale on ubiera ją innemi podaniami, dramatyzuje najdoskonaléj i nagle rośnie całość pełna prawdy gminnéj i życia najrzeczywistszego *)."

---

*) Pielgrzym. 1843 T. II. Czerwiec, z korrespondencji X. *Hołowinskiego* do *Mich. Grabowskiego*.

Pisałem w Petersburgu,
1844, 8 Września.

ROMUALD PODBERESKI.

KILKA SŁÓW OD AUTORA.

Między ludem Białoruskim zachowują się jeszcze i teraz niekótre podania dawnych czasów, które przechodząc z ust do ust, zrobiły się tak ciemne jak mithologja starożytnych narodow. Mieszkańce tego kraju, a mianowicie w powiatach: Połockim, Newelskim i Siebieżskim, od niepamiętnych czasów doświadczając cierpień, przerodzili się zupełnie w charakterze; na ich twarzach zawsze napiętnowany jakiś smutek i posępne dumanie. W fantazjach ich ciągle snują się duchy nieżyczliwe, które jednak służą złym panom, czarownikom i wszystkim ich nieprzyjaciołom.

Ja się rodziłem tam i wyrosłem, ich skargi i smutne opowiadania, jak szum dzikich lasów, naprowadzały na mnie zawsze posępne dumania i od dzieciństwa były mojém jedyném marzeniem.

Niektóre z tych rodzinnych pamiątek wspomniałem w balladach; to było moje samotne nucenie. Ballady były początkiem tego, o czym miałem zamiar obszer-

niej opowiadać. W naturze to jest ludzkiéj, że od śpiewów przychodzim do opowiadania tego, co nas najwięcéj zajmuje. Sześć tomików jeden po drugim mają wyjść tych powieści, malujące najwięcéj strony północnéj Białorusi, bo ten kątek ziemi, zawsze jest dla mnie najmilszém wspomnieniem.

Nie naśladuję form jakich używali powieściopisarze Anglicy, Niemcy lub Francuzi; sądzę, że cudzoziemski ubior nie będzie do twarzy mieszkańcom Białorusi, bo obca dla nich gadatliwość innych narodów. Wziąłem formę z saméj natury. Sierota co dzień skarży się na swoją niedolę, opowiada rozmaite cierpienia, które musiała przenieść na tym świecie, a wszystkie jéj skargi z całego życia zlewają się w jedną powieść, chociaż niemyśliła dzisiaj o tym, co będzie opowiadać jutro.

Petersburg,
1844, 8 Września.

Jan Barszczewski.

SZKIC

POŁNOCNEJ BIAŁEJRUSI.

Podróżujący z północy ku Białoruskim stronóm, widzi przed sobą ogromne wsie, nakształt miasteczek, murowane, bielejące się kościołki i kamienice dworów *), obszerne zasiane pola, tu i ówdzie małe gaiki sosnowe lub brzozowe, słyszy nie raz rozciągły i głośny śpiew wieśniaka, przez pola daleko sięgający, jak oko dójrzeć może, lub przelatujący góry i doliny melodiją pasterskiego różka. W dni niedzielne, kiedy się słońce zbliża ku zachodowi, spotyka wiejskie dziewczęta w świątecznych perkalowych, a niekiedy i w jedwabnych

*) Tak lud tameczny nazywa murowane domy dworów.

sarafanach, w assystencji zalotnych młodzieńców; odbywają korowody śpiewając narodowe pieśni, a starcy siedząc na przyzbach rozprawiają o starych czasach i o teraźniejszych....

Lecz gdy się zbliża ku granicóm Siebieża i Newla, ogląda przed sobą rozległe ciemne bory, nakształt chmur wiszących na horyzoncie, między lasami słomiane dachy ubogich mieszkańców; gdzie niegdzie wzrok jego spotyka stérczący między sosnami żelazny krzyż, jakiéj mchem pokrytéj kapliczki, przed drzwiami któréj, na dwóch sosnowych słupach, wiszą dwa lub trzy dzwony; po okolicy rozsiane mogilne krzyże i kamienie. Rzadko się tam spotyka pański dom porządnie wybudowany, nie wiele i kościołów takich, gdzieby można było widzieć gust architekta lub koszt możnego fundatora; i ten widok ziemi posępny i dziki, zaczynając się od rzeki Łować, sięga do brzegów Dźwiny, gdzie się kończy Połota i Drysa.

Po całéj téj przestrzeni wąskie kamieniste drogi, przerzynają górzyste miejsca, i mijając dzikie brzegi jezior, kryją się w borach. W ubogich wioskach w dnie święte i powszednie, zawsze panuje jakaś ponura cichość; rzadko się odezwie pieśń żniwiarza lub oracza, i w tém nuceniu łatwo zrozumieć można myśli jego stroskane, bo tu nieurodzaj często omyla nadzieje pracowitego rolnika.....

W tych stronach upłynęły dziecinne moje lata. Tu ja, po rostaniu się z młodymi moimi towarzyszami Połockiéj Akademji, nie mogąc mieć innych ksiąg przy sobie, prócz kilku

klassyków łacińskich i greckich, błąkałem się w przyjemném marzeniu gdziekolwiek w ciemnym borze lub po odludnym brzegu jeziora; lubiłem czytać w księdze przyrodzenia, gdy się w wieczornéj porze odkryje karta, na któréj napisana Wszechmocność Boska, miljonami w górze gwiazd pałających. Na ziemi pokrytéj niezliczoném mnóstwem roślin i żyjątek, czytałem o Miłosierdziu i Opatrzności Twórcy. Ta księga przyrodzenia uczyła mię prawdziwéj poezji, prawdziwych uczuć, lepiéj niż teraźniejsi gadatliwi krytycy, co cudze uczucia i rozmaite zdolności człowiekowi od Boga dane, chcą jakby frak przeszyć na swoją figurę.

Opowiadania starców o różnych zdarzeniach w narodowych ich powieściach, które przeszły z ust do ust od niepamiętnych czasów, były dla mnie historją o téj ziemi, o charakterze i uczuciu Białorusinów.

Rzucony losem w odległe miejsca, o jak często samotne myśli moje od brzegów Newy lecą w te strony, gdzie upłynęły kwitnące lata życia mojego, gdzie tyle miłych wspomnień maluje się w wyobraźni mojéj! Wspominam nie dalekie od Newla okolice *Rabszczyzny*, gdzie natura podniosła wysokie góry, jakby piętra olbrzymich gmachów, które wieki pokryły cieniami lasów, a inne złotym piaskiem błyszczą przed pogodném słońcem. Ile tam rozmaitości w widokach, ile zachwycających obrazów! Jeśli kto zwiedzając te strony wstąpił na wierzchołek *Poczanowskiej Góry* *) i spójrzał na dzikie okolice w około leżące, wody tu

*) Wiersz umieszczony pod tym tytułem w *Niezabudce* na r. 1841.

i ówdzie jakby lustra odbijają dzienny promień, a nad brzegami ich drzemią gęste lasy; gdzie niegdzie po spadzistościach gór czernieją ubogie domki wieśniaków; nie obaczysz tu nigdzie miastowych murów, ani baszt starego zamku. Tam człowiek zapomina o świecie. Nie brzmią tam sądy o sprzeczkach Izby francuzkiéj w interessie Egiptu i Turcji, nie słychać tam o angielskim Parlamencie, o wojnie z Chińczykami, nie rozprawiają tam o żelaznych drogach, ani o dziwnym wynalazku Daguerr'a. A tylko głos pastuszka, wystrzał myśliwca w gaju, lub wiatr przelatujący w wierzchołkach boru, zakłócą na chwilę ciszę okolicy....

Zbliżając się ku stronóm Połocka, jezioro *Nieszczorda* na mil kilka zalewa przestrzeń, podmywa falami nadbrzeżne góry piaszczyste, ku południowi obszerne łąki usiane kępami łoz; w niektórych miejscach między trzciną, rzeczki biegąc zdaleka, kryją się w rozlewie wód jeziornych. Tam wiosna rajem; ptastwo różnego rodzaju zda się zgromadzać ze wszystkich krajów świata; tysiące różnych melodyjnych, dzikich i czułych głosów, odzywa się nad wodą po łąkach i lasach, jęk kukawki, pienia słowików, brzmienia bąka w trzcinie, wrzaskliwe krzyki kaczek.... Ta dziwna harmonia i ten koncert natury, unosił moją wyobraźnię w jakiś kraj czarodziejski.

I teraz te miejsca, gdzie będąc dziecięciem tyle cudów przyrodzenia widziałem, te gaje, te zielone brzegi Nieszczordy malują się w mojéj pamięci, jakby ogród widziany we śnie. Przypominam opowiadanie gminu o podaniach téj stro-

ny, o górach, drzewach, Nieszczordzie, które pomiędzy ludem kursują; a chociaż w ich opowiadaniach trudno dociec rzeczywistéj prawdy, jednakowoż można widzieć ślad jakiś przeszłości tego kraju, bo dotychczas jeszcze na niektórych miejscach dają się postrzegać wały wzniesione ręką ludzką; są to, bez wątpienia, ślady działań wojennych, o których żaden historyk nie wspominał. Niekiedy wzrok spotyka kurhany pokryte lasem. Może w cieniu szumiących sosen, spoczywa tam jaki wojownik, którego imie dawno zapomniane. Ja nieraz słyszałem opowiadania prostego ludu o dawnych dziejach wojennych, lecz tam tyle wmieszano bajek i cudów, iż ledwo jakiś ślad został przeszłości, bez imion osób działających. Opowiem jedno gminne podanie téj okolicy.

W południowéj stronie jeziora Nieszczordy, jest góra z trzech stron oblana wodą, na téj górze drewniany maleńki kościółek, i kilka sosen; tam częstokroć znachodzą w piasku starte wiekami srebrne monety, szklanne przedmioty do ozdób służące, i przerdzewiałe szczątki rozmaitéj staroświeckiéj broni. Powiadają, że na tym półwyspie było niegdyś miasto. Lecz czyje miasto, kto niém zarządzał, niewiadomo. Lud tameczny mieszkający w odległych lesistych okolicach, był długo spokojny od napadów różnych narodów błąkających się w tych stronach dla łupieztwa. Po niejakim czasie straszliwy Olbrzym, nazwiskiem Kniaża, zwabiony ku brzegom Nieszczordy nadzieją bogatego łupu, obległ to miasto z ogromną tłuszczą rozbojników, pokonał słabą obronę, ograbił domy, pozabijał mieszkańców, w ko-

ściołach po obdzierał obrazy i naczynia należące do ofiar złupieżył; nawet kościoł zrujnował, a dzwony zotopił w jeziorze i z tłumem drużyny obrał sobie mieszkanie w opustoszonem mieście. Lecz Bóg cudownym sposobem ogłosił karę swoją świętokradcóm. Dzwony zatopione na dnie jeziora, codzień o zachodzie i wschodzie słońca, obudzały głuche milczenie na dzikich brzegach Nieszczordy, tak, że jękiem tego dzwonienia ustraszone ptastwo uciekło w powietrzne szlaki, a sarny i łosie drżąc od strachu, kryły się w odległych borach. O północy latała dżuma, podobna do czarnéj kuli, i gdzie się dotknęła ściany mieszkania, już z tego domu nikt nie wychodził żywy, i tym sposobem wymarła cała drużyna Kniaża; on sam przelękniony zostawiwszy wszystkie bogactwa zakopane w górze, uciekł z kilku towarzyszami, lecz niedaleko za jeziorem śmierć go spotkała. Lud i teraz pokazuje ogromny kurhan, który się nazywa *Mogiłą Kniaża.*

Wiele i innych podań w tych stronach krąży między gminem; wiele z nich wskazuje na historyczne wypadki, inne zaś więcéj są płodem fantazji i melancholicznego ducha, który mieszkańca tych dzikich i lesistych okolic odznacza; od natury ku postępnéj usposobiony myśli, wyobraźnia jego tworzy dziwaczne obrazy. Niektóre z tamecznych gminnych podań przelałem w balladach umieszczonych w trzech tomikach Noworocznika *Niezabudki*, a mianowicie: *Zdrój Dziewicy*, który się znajduje w północnéj stronie miasta Połocka, skryty w cieniu wieczystych lasów; *Dwie Brzozy*, które i teraz lud pokazuje niedaleko brzegów jeziora

Szewina; Kurhany i Rusałka wzięte z pieśni czarownicy, która tęskniąc po swoim kochanku, śpiewa:

Husańki, labiodeńki,
Skińcia mnie po pioreczku,
Ja z wami poleczu.

Bywają tu niekiedy w dnie niedzielne kiermasze; lud się zbiera z pobliskich wiosek do kościoła. Tam na smentarzu, dają się widzieć niekiedy sceny, smutek na duszę nawodzące. Tu wdowa zdrobnemi dziećmi przy krzyżu drewnianym, który stoi nad grobem jéj męża, a tam sierota nad grobem rodziców rozdzierającym serce głosem, opowiadają swe żale; niech się kto zbliży ku nim i słowa ich podsłucha, one umarłym zazdroszczą, i te ich skargi płaczliwe, zdaje się, że kamienne przeniknęłyby piersi.

Po skończoném nabożeństwie, gromadzą się w jedno miejsce, gdziekolwiek blisko karczmy; tu się zjawia kilku żydków z wstążkami, igiełkami, i różnemi błyskotkami do stroju; odzywa się charakterystyczna *Białoruska Duda.* Zaczynają się tony pod odkrytém niebem; młody chłopak i siwy starzec zagrzani gorzałką, tańcują do potu, radość ich częstokroć przechodzi granice przyzwoitości. A smutne płaczki, co niedawno zalewały się łzami nad grobem męża i ojca, tańcują na nótę brzmiącej *Dudy:*

Sława tobie Chryste Caru,
Czto moj muż na cmentaru,
I biady pozbyła sia,
I harełki napiła sia.

Albo też:

Kaliż taja sierada praszła,
Jak niajeuszy na pryhon paszła,
Wieś dzień żała, nialaniła sia,
Złomu Wojtu pakłaniła sia;
A ciapierża ni a czom tużyć,
I Wojt pjanyj u karczmie ležyć.

Pieśni tego gminu po większéj części, jak w myślach tak i w nócie zawsze mają cóś melancholicznego, a nawet i pieśni weselne, gdzie życzą nowożeńcom szczęśliwego pożycia, mają w sobie jakieś uczucie smutku, jak gdyby niedowierzali przyszłemu losowi na tym padole płaczu.... Lecz obrzędy weselne charakteryzują się rycerską ochotą; młody nowożeniec, nim stanie u progu rodziców narzeczonéj, przyzwyczaja konia swego nie lękać się ognia i rzucać się w płomienie, a tak przygotowany, gdy się zabiera jechać do swéj narzeczonéj, on i drużyna jego wkładają czerwone czapki, zwieszają na piersi czerwone chustki i galopują przez góry do domu, gdzie ich czeka panna młoda i zebrani goście. Lecz przed wrotami spotyka ich buchająca płomieniem słoma, on i drużyna przeskakują w czwał na dziarskich koniach, ale i tu jeszcze zapalone pęki słomy, rzucane w oczy koniom niepozwalają wjechać w otwarte wrota; oni przezwyciężają wszystkie przeszkody; młody narzeczony z nachyloném czołem wchodzi do chaty, siada za stołem, odzywa się pieśń: *Basłow Boch wiasiela ihrać* *)

*) Błogosław Boże dziewosłębom, godóm małżeńskim.

i tu się zaczyna błogosławieństwo nowożeńców i bal godowy. Lecz pod czas tego balu zdarzają się różne nadprzyrodzone wypadki.

Białoruś jak i inne narody, pamięta jeszcze niektóre swoje bóstwa mitologiczne. Rusałki, kiedy żyto kwitnie w polu, z rozpuszczonemi długiemi włosami, kołyszą się na brzozach, i śpiewają pieśni; śmiech ich odzywa się w głębi lasów i trwogą przejmuje zbierających grzyby lub jagody. Bóg leśny jest panem dzikich pustyń; aby go wzrok ludzki nie mógł dojrzeć, pod rozmaitemi postaciami ukrywa się w dziedzinach swoich; mijając łąki, tak maleje, że go w bujnéj trawie dojrzeć niepodobna; idąc przez bory, równa się najwyższym sosnóm. Jest on opiekunem zwierząt i ptastwa leśnego. Powiadają, że widziano ogromne stada wiewiórek przeprowadzane przez Leśnego Bożka z jednego boru do drugiego; czynił to dla tego, aby je ocalić od ognia, bo przewidywał w któréj stronie pożar wybuchnie.

Uroczystość *Kupały* znajoma prawie wszystkim ludóm Słowiańskim. Na Białéjrusi 23 czerwca, po zachodzie słońca odbywa się *Kupalnia* czyli *Swięto Kupały;* podczas nocy szukają skarbów; najszczęśliwszy, kumu się uda zerwać kwiat paproci; wzrok jego w głębi ziemi postrzega zakopane skarby, i tyle może mieć złota, ile tylko sam zechce. Kobiéty i młodzież obojéj płci, około smolnych palących się drew, czekają wschodu słońca śpiewając pieśni:

Iwan da Marija
Na hare kupalnia,
Hdzie Iwan kupausia,
Bierah kałychausia;
Hdzie Marija kupałaś,
Trawa raściłałaś.

I tym podobne pieśni brzmią w polu, aż póki słońce nie zagra na niebie.

Noc *Kupały* w tych stronach Białejrusi pełna jest nadzwyczajnych zdarzeń; wedle mniemania gminu, całe przyrodzenie zdaje się weselić téj nocy. Rybacy widują powierzchnią jeziora pokrytą niekiedy białym, jakby księżycowym blaskiem, a chociaż pogodne niebo i spokojne powietrze, błyszczące fale uderzając w brzegi rozpryskują krople, które jakby gwiazdy świecą się w powietrzu. Ten piękny czarujący widok, na zarosłych trzciną brzegach, obudza kaczki dzikie i inne ptastwo wodne, które zwabione tém pięknem wód światłem, unosi się tu i ówdzie po nad jasném jeziorem.

Drzewa w lasach także mają przechodzić z jednego miejsca na drugie; szumém gałęzi swoich rozmawiają między sobą; powiadają, że ktoś téj nocy błąkając się w lesie, znalazł Kwiat Paproci, widział nie tylko skarby w ziemi ukryte, ale i dziwy nadzwyczajne w naturze; rozumiał rozmowy każdego stworzenia; słyszał jak Dęby schodzą się z różnych miejsc i stawając w koło, szmerem gałęzi prowadziły między sobą rozmowy, jakoby wojenni weterani, przypominający bohatérskie czyny i dawne zasługi swoje. Tam

się gromadząc Lipy i Brzozy, chlubiły się swoją pięknością; między niemi były niektóre, jakby goście, z sąsiedzkich ogrodów, klassycznie podstrzyżone i wyprostowane; te gwarzyły o zalotności dworowych dziewcząt i swawoli paniczów, której nieraz bywały świadkami; a tych rozmów krzywdzących słuchały z pogardą zadumane Sosny i Jodły; widział Wirzby stojące nad rzeką, które wpatrując się w źwierciadło wód, pytały się jedna drugiej, co której do twarzy, i te dziwy dzieją się aż do wschodu słońca.

Wschód słońca po téj bezsennéj, uroczystéj nocy, bywa też osobliwszy. Tłum ludu weselący się w polu, kończy pieśni i tany i w milczeniu obraca oczy ku niebu, pogląda jakby na scenę, gdzie w górze, na pałającéj przestrzeni horyzontu ma się zjawić nadzwyczajny widok. Wschodzi słońce, podnosi się nad góry i lasy, i przed oczyma całego ludu, rozsypuje się po niebie w drobne iskrzące się gwiazdki, znów się zbiega w jedną ognistą kulę, otacza się mnóstwem tęczowych kół i miga we środku kręcąc się na swéj osi. To zjawisko powtarza się razy kilka, i takim sposobem *Słońce gra* corocznie 24 czerwca.

Prócz pomienionych dziwowisk, są jeszcze wedle mniemania mieszkańców stron owych cudowne zioło. *Razyw trawa* ma wywierać dziwne wpływy na żelazo, rozrywa jakby zamki i kruszy kajdany więźniów; kosa na łące w czasie sianożęć, jeżeli się na nią natknie, pęknie na kilka części. *Pieralot trawa*, czyli ziółko latające; powiadają o niéj, że posiada władzę przenoszenia się z miejsca na miej-

sce, kwiat jéj z tęczowych kolorów, nadzwyczajnie żywy i piękny, a w polocie swoim nocną porą błyska jakby gwiazdka. Szczęśliwy kto ją zerwie, nie dozna przeciwności w życiu swojém, wszystkie jego żądze będą natychmiast spełniane, i to ziele jest zielem szczęścia. Ludzie rojąc o szczęściu na téj ziemi, malują one w rozmaitych obrazach; Grecy i Rzymianie oddawali pokłon ślepéj Fortunie, co kręcąc wieczne koło, wznosi ludzi pod obłoki i znów pogrąża w przepaści. Lud Białoruski uroił sobie jakieś latające ziółko, za którem pędząc się nie jeden zbłąkał się z drogi i niepowrócił do swéj rodzinnéj chaty. I ja szukając go daleko, rzuciłem te rodzinne strony, gdzie upłynęły najprzyjemniejsze dni życia mojego, i teraz w północnéj stolicy, poglądając na teatr świata wielkiego, czytam księgę, co niekiedy śmieszy, niekiedy zmusza łzy wylewać, a to jest księga serc i charakterów ludzkich.

Rodzinna ziemio, twe góry wyniosłe,
Łąki i wody w krąg trzciną obrosłe,
I lasy, gdzie blask nie przenika słońca,
Zawsze się w mojém malują wspomnieniu,
W zielonéj barwie, w wiosennym promieniu,
Jak gdyby obraz jaki czarujący.
Brzmi w méj pamięci tęskny śpiew rolnika,
I nieuczona pasterska muzyka,
Kiedy w rozległych borach nad jeziorem
Echo powietrza dźwięk kobzy wieczorem;

Lub gdy się chłodząc gmin wieczornym cieniem,
Po dziennych trudach, pod niebios sklepieniem,
Przed domem w grono zebrany usiada,
I słucha, kiedy starzec opowiada
Niegdyś od przodków słyszane zdarzenia;
Od pokolenia te do pokolenia
Idąc, o dawnych wspominają ludach,
O bohatérach, o wojnach, o cudach!...

324310

SZLACHCIC
ZAWALNIA.

Stryj mój Pan Zawalnia, dość zamożny szlachcic na zagrodzie, żył w północnéj i dzikiéj stronie Białorusi: jego dworek czarujące miał okolice; na północ blisko mieskania, Nieszczordo, ogromne jezioro nakształt odnogi morskiéj, kiedy czas wietrzny, to w domu słychać szum wód i widać przez okno, jak fale pokryte pianą podnoszą rybackie łodzie w górę i znowu zrzucają. Na południe niziny zielenią się krzakami łozy, gdzie niegdzie wzgórki zarosłe brzozą i lipą, na zachód szerokie łąki i rzeka bieży od wschodu przerzynając te okolice wpada do Nieszczordy. Wiosna tam nadzwyczajny ma urok, gdy się rozleją wody po łąkach i zabrzmią głosy powracających ptakow w powietrzu, nad jeziorem i w lasach.

Pan Zawalnia lubił naturę, największém jego upodoba-

niem było sadzić drzewa, a przeto, chociaż dom jego stał na górze, o pół wiorsty nie można go widzieć, bo był zewsząd pokryty lasem, rybakom tylko pływającym po jeziorze przed okiem stała cała budowa. On także miał od przyrodzenia duszę poety, a chociaż sam nie pisał ni prozą ni wierszem, jednak każda powiastka o rozbojnikach, bohatérach, o czarach, i cudach nadzwyczaj go zajmowała, i każdą noc nie inaczéj zasypiał, jak tylko słuchając powieści, przeto, już było zaprowadzono, że nim zaśnie, po kolei jeden którykolwiek z czeladzi, musiał mu opowiadać gminną jaką powieść, i słuchał cierpliwie chociażby ta sama była powtarzana kilkadziesiąt razy. Jaśli kto przyjeżdżał do niego, mając jaką potrzebę, jakikolwiek podróżny lub kwestarz, najuprzejmiéj przyjmował, traktował, utrzymywał na noc i spełniał wszystkie chęci, nagradzał, aby mu tylko opowiedział jaką bajkę, a mianowicie w jesieni, kiedy nocy długie; ten gość był najmilszy dla niego, który najwięcéj w zapasie miał historji, różnych zdarzeń i anegdot.

Ja kiedy przyjechałem do niego, bardzo mi był rad, rospytywał o obywatelach, u których przy obowiązku tyle lat przepędziłem, opowiadał o swojém gospodarstwie, o brzozach, lipach i klonach, które nad dachem mieszkania szeroko rospostrzeniły gałęzie swoje. Sąsiadów niektórych chwalił, innych zaś ganił, że oni zajmowali się tylko psami, handlem koni i polowaniem. Nakoniec po długiéj rozmowie o tém i o owém, rzecze do mnie. — Jesteś człowiekiem uczonym, chodziłeś do szkół Jezuitów, czytałeś wiele ksią-

żek, rozmawiałeś z ludźmi uczonymi, musisz umieć wiele rozmaitych historji, dzisiaj wieczorem powiesz mi cokolwiek ciekawego.

Przypominałem więc w myśli z czémby się popisać, nic nie czytałem prócz historyków i klassyków; historja narodow nie jest zajmujący przedmiot dla tego, którego nie interesuje teatr świata i osoby grające rozmaite sceny, dla mego stryja jedna historja była Biblija, z świeckich zaś podań, gdzieś wyczytał, że Alexander Macedoński chcąc dowiedzieć się o wysokości nieba i głębokości morza, latał na gryfach i spuszczał się na dno oceanu, i taka śmiałość ludzka dziwiła jego i zajmowała: trzeba żebym i ja opowiadał cokolwiek w podobnym guście, postanowiłem więc zacząć od Odyssei Homera, gdyż w tym poemacie pełno jest czarow i dziwow, jak i w naszych niektórych gminnych powieściach.

Około dziesiątéj godziny z wieczora, kiedy wiejscy mieszkańcy kończą swoje prace, mój stryj po modlitwie idzie do spoczynku i już zebrała się cała czeladź słuchać nowych powieści, a on rzekł temi słowy: — No Janko, popowiedz że nam co ciekawego, ja będę pilnie słuchał, bo dziś czuję siebie że prędko nie zasnę.— Ja tedy aby moje powieści lepiéj były zrozumiane od słuchaczów, opowiedziałem po krótce o główniejszych Bogach, Boginiach i bohatérach greckich, potém o złotém jabłku, o sądzie Parysa, o oblężeniu Troi, wszyscy słuchali z ciekawością i z zadziwieniem, słyszałem niektórych z czeladzi mówiących: *hetaj baśni prypomnyć niemożna duża ciaszkaja.*

— A czy toż była kiedy prawda co opowiadasz? — po długiém milczeniu przerwał stryj.

— Tak kiedyś wierzyli poganie, bo to było przed narodzeniem Chrystusa, wiadomo z historji o bycie tego narodu, wiadomo także i o ich religji.

— I tego was uczą Jezuici w szkołach, na cóż się to przyda?

— Kto się uczy, — odpowiedziałem, — ten powinien o wszystkiém wiedzieć.

— No więc mówże daléj.

I daléj opowiadałem bez przerwy, już było po północy; czeladź rozchodząc się pocichu powtarzała sama sobie *nam hetaj baśni niawyuczyca, usio sztoto nipanaszemu tut niczaho ni prypomnisz.* — Po niejakim czasie posłyszałem mocny sen mego stryja i będąc rad z tego zdarzenia, przeżegnałem się i zasnąłem.

Na drugi dzień jako wiejski gospodarz wstał bardzo rano, obejrzał wszędzie swój maleńki dworek, i powróciwszy do domu zbliżając się do mnie jeszcze drzemiącego zawołał: — O, jak to widzę, to waszę lubisz spać po pańsku, wstawaj, u ludzi prostych to grzechem, i nazwą hultajem. Ależ twoja wczorajsza historja bardzo uczona, choć w łeb strzel, niepamiętam ani jednéj familji tych pogańskich Bogów. — Lecz to nie raz ostatni, pogościsz u mnie do wiosny, a w czasie długich zimowych nocy, wiele mi opowiesz o tém i o owém.

W czasie mego pobytu w domu stryja, musiałem pięć prawie tygodni usypiać jego co noc opowiadaniem poema-

tów sławniejszych greckich lub łacińskich klassyków, lecz jemu się najwięcéj podobała z Odyssei mądrość Ulisesa na brzegach Cyrcy i na wyspie Cyklopów, powtarzał mi nieraz, — a może kiedyś dawno i bywali tak ogromni olbrzymi, tylko to dziw, że z jedném okiem we łbie, ależ co za chytry ten Ulises, upoił, wykłuł oko, i wyjechał na baranie; nie mógł także zapomnieć szóstéj pieśni z Wirgiljusza, gdzie Eneasz wstąpił do piekła, powtarzał razy kilka temi słowy, — choć on był i poganin, lecz jakie szlachetne uczucie i przywiązanie do Ojca iść w tak niebezpieczne strony, ale jaka ich dziwna wiara, u nas duszeczki zbawione idą do nieba, a oni sobie wymyślili królewstwo niebieskie tak głęboko pod ziemią, dziwna rzecz! —

Pewnego razu rozmawiając ze mną zapytał — czy dawno byłem w Połocku?

— Rok bez mała nie miałem zdarzenia być w tym mieście.

Jeśli kiedy tam będziesz, dobrzeby się dowiedzieć od księży Jezuitów, jak się uczą moi Staś i Józio. O! nie zle być człowiekiem uczonym, ot! jak wasze opowiadasz z różnych książek, tego nieuk i we śnie nie obaczy; dobrze wszystko wiedzieć, ja będąc w Połocku i moja nieboszczka żona wiecznéj pamięci, prosiliśmy księdza Prefekta, aby nieżałowano rózeczek, *rószczką Duch Swięty dziateczek bić radzi, rószczka bynajmniéj zdrowiu nie zawadzi.* O! to piękne wiersze rószczka uczy rozumu i wiary; nasi niektórzy panicze pieszczeni u rodziców, tylko się i bawią z kon-

mi i psami, a przyjdzie który do kościoła, ani się przeżegna; jaka pociecha rodzicom, kara tylko Boska!

Już piérwsze dni były listopada: siedząc przy oknie samotny słuchałem wycia jesiennych wiatrów i szumu brzoz i klonow które gęsto wznosiły się nad dachem budowy, żółte liście kręcił wicher po dziedzińcu i podnosił w górę, wszędzie głucho, tylko niekiedy zaszczekał pies, gdy mijał przechodzień lub się zwierz ukazał z lasów, myśl moja zajęta była jakiémś tęsknem marzeniem, w tém wchodzi kobiéta zajmująca miejsce gospodyni u mego stryja; była to siostra jego umarłej żony, już lat podeszłych; widząc mię zamyślonego, rzekła: Nudzisz się u nas panie Janko, młody człowiek jesteś, a towarzystwa nie masz odpowiednego, a może i te nocne opowiadania bajek już się sprzykrzyły, nie wiele cierpliwości, a jak tylko zamarzną wody Nieszczordy, mimo tego folwarku przez jezioro będzie wielka droga, o! wtenczas Pan Zawalnia wiele do siebie zaprosi gości, aby opowiadali co komu przyjdzie do głowy.

Przeszło dni kilka w czasie jasnych i pogodnych nocy zaiskrzyły się mrozy, zasnęły wody jeziora pod bryłą grubego lodu, posypał śnieg z obłoków; i już zima. Wzdłuż Nieszczordy jawiała się szeroka droga, mijają podróżni i ciągną się do Rygi naładowane wozy lnem i pieńką, pokazał się tłum rybaków na lodzie; ja i stryj mój lubiliśmy często odwiedzać tonie i patrzać na obfity ryb połów, a tu jeszcze i ta była korzyść, że on będąc dzień cały na mrozie, prędko zasypiał w nocy i byłem wolny od opowiadania bajek, do tegoż częściéj mieliśmy i zajeżdżających gości,

przed którymi stryj mię bardzo chwalił i nauki jezuickie, opowiadając, że odemnie wiele nowych i tak rozumnych słyszał powieści, że i spamiętać trudno; byłem i ja rad gościom, gdyż ktokolwiek z nich zastąpił miejsce moje, a mnie już było przyjemniéj słuchać niż gadać.

Wieczor był ciemny, niebo pokryte chmurami, nigdzie ani jednéj gwiazdy, śnieg padał gęsty, nagle powstają północne wiatry, w około straszna burza i zawierucha, okna zasypało śniegiem, za ścianą zawyły wichry smutnym głosem, jakby nad grobem natury, o jeden krok oko nic dostredz nie może, i psy na podwórzu szczekają: rzucają się jak gdyby napadły na jakiego zwierza; — wychodzę z domu, słucham czy nie podeszło stado wilków, gdyż podczas burzliwych nocy te drapieżne zwierzęta najczęściéj szukają sobie zdobyczy snując się tam i ówdzie około wiosek, wziąłem strzelbę nabitą, aby choć odstraszyć, jeśli będę mógł dostrzec ich iskrzące się oczy. W tém posłyszałem krzyk ludzi na jeziorze, mnóstwo odzywało się tam i ówdzie rozpaczliwych głosów jakby w strasznem niebezpieczeństwie jeden drugiemu pomocy dać nie mogąc, powracam do izby i opowiadam to stryjowi. To podróżni odpowiedział, wiatr śniegiem zasypał drogę i oni błąkając się po jeziorze, nie wiedzą w którą udać się stronę, to mówiąc wziął zapaloną świécę i postawił na oknie.

Pan Zawalnia miał zwyczaj to czynić pod czas każdéj burzliwéj nocy, już to dla tego, że miał w sercu miłość ku bliźniemu, jako dobry Chrześcijanin, i rad był gościom, aby z niémi pogadać i posłuchać powieści. Podróżni za-

błąkani dostrzegłszy z jeziora ogień w oknie, cieszyli się jak żeglarze miotani morską falą, kiedy zobaczą zdaleka wśród ciemnéj nocy światło lampy portowéj, zjeżdżali się wszyscy do dworku mego stryja, jakby do karczmy stojącéj przy drodze, aby się ogrzać i dać odpocząć koniom.

Wiatr nie ustawał i dóm otaczały śnieżne zaspy, iakby wysokie wały, w pośród szumu burzy słychać po śniegu skrzypiące naładowane wozy, stukają do zamkniętych wrót i krzyczą: *Randar! randar! adczyni waroty; ahci, jakaja miacielica sausiom pieraziabli, i koni prystali czuć ciahnuć: randar! randar! adczyni waroty!*

Na ten krzyk wychodzi parobek niekontent, że wpadł do głębokiego śniegu: *pahadzicia, adczyniu, czaho wy kryczycia, tut nie randar żywieć, a Pan Zawalnia.*

— *Ach panoczyk* (sądzili, że to sam gospodarz) *puści nas piranaczawać, nocz ciomnaja ni czaho nie widna i darohu tak zamiało, szto i najci niamożno.*

— *A ci umieicie skazki, da prykaski?*

— *Dawżosz jak nibuć skażym, kali tolka budzie łaska panskaja.*

Odmykają się wrota, wjeżdża kilka wozow na podwórze; wychodzi stryj na spotkanie i mówi: no dobrze, będziecie mieć wieczerzę, i siano dla koni, tylko z umową, że musi z was którykolwiek mi opowiedzieć ciekawą bajkę.— *Dobre Panoczyk*— odpowiadają chłopi zdejmując czapki i kłaniając się.

Wyprzęgli więc i przywiązali do wozow swoich konie,

położyli im siana, weszli do czeladnéj izby, otrzęśli się ze śniegu, tam dano im wieczerzę, po niéj kilku przyszło do pokoju mego stryja, on dał im jeszcze po kieliszku wódki, podróżnych posadził blizko siebie, położył się na pościel, z zamiarem jednak słuchać bajek; zebrali się domowi i ja siadłem blizko, z wielką ciekawością chcąc słyszeć nowe jeszcze dla mnie gminne powieści.

POWIEŚĆ PIERWSZA.

O CZARNOKSIĘŻNIKU, I O ZMII WYLĘGŁEJ Z JAJKA KOGUTA.

Nie wszystkim czytelnikóm może być zrozumiały białoruski język, a więc te gminne opowiadania, które słyszałem z ust ludu, postanowiłem ile mogąc w dosłównem tłumaczeniu napisać po polsku.

Podróżny ten był człowiek lat nie młodych; włos miał siwy, lecz czerstwy był i mocny. Gdy opowiadał swoją przeszłość, zdawał się odmładniać; pomyślawszy tak zaczął:

— Nie bajkę Panu opowiem, lecz, to co było w rzeczy samej, co się zdarzyło nawet ze mną. Gorzkie nasze niekiedy bywa życie, lecz kto pokłada ufność swoję w Bogu, Bóg się zlituje i wszystko przemieni na lepsze. Biada temu kto się pędząc za bogactwem, zaprzeda duszę swoję piekłu.

W młodości mojéj pamiętam, mieliśmy Pana K. G. zły to był Pan, strach wspomnieć o tém, co on robił: chłopów

i dziewcząt żenił i za mąż wydawał, nie chcąc i znać ni o ich przywiązaniu, ni o przeszłém szczęściu; ni prośby, ni łzy, nie mogły go zmiękczyć, spełniał swoją wolę ćwicząc ludzi bez żadnéj litości, koń i pies u niego był droższy, niż chrześcijańska dusza; miał on lokaja Karpę złego człowieka; i oni oba, pierwéj Pan, a potém sługa, zaprzedali duszę swoją djabłowi — a to takim sposobem:

Jawił się w naszym dworze niewiadomo zkąd, jakiś dziwny człowiek, i teraz jeszcze pamiętam urodę, twarz i odzienie jego; nizki, chudy, zawsze blady, nos ogromny, jak dziób drapieżnego ptaka, brwi gęste, spojrzenie jego było jakby rozpaczliwego lub obłąkanego, suknia na nim czarna i jakaś dziwaczna, zupełnie nie taka, jak u nas noszą panowie lub księża, nikt nie wiedział, czy on był świecki, czy jaki mnich, z Panem rozmawiał jakimś językiem niezrozumiałym, odkryło się potém, że to był czarnoksiężnik, uczył Pana robić złoto i innych sztuk szatańskich.

A chociaż wtenczas byłem bardzo młody, jednak musiałem odbywać we dworze koléj nocnego stróża, obchodzić wszystkie zabudowania pańskie i dzwonić młotem w żelazną deskę. Widziałem nieraz o saméj północy w pokoju Pana ogień się palił, i on czémś tam z czarnoksiężnikiem ciągle bywał zajęty; wszyscy zasnęli i cichość panowała we dworze, nad dachem pańskiego mieszkania snuły się gęsto tam i ówdzie nietoperze i jakieś czarne ptaki. Sowa siadłszy na dachu to chychotała, to płakała jakby niemowlę, na mnie napadła okropna trwoga, lecz gdy się przeżegnałem zmówiłem pacierze, cokolwiek mi ulżyło, i poczułem w so-

bie więcéj śmiałości, postanowiłem cicho iść do okna pańskiego i zobaczyć przez szybę, co też oni tam robią. Ledwo się zbliżyłem, przy ścianie postrzegłem okropne straszydło. Strach wspomnieć, była to ogromna żaba ropucha, spójrzała na mnie ognistym wzrokiem, skoczyłem nazad, biegłem precz jak szalony, i ledwie się wstrzymałem o dwieście kroków, dreszcz przebiegał po ciele, przyszło mi na myśl, że to szatan w postaci tego straszydła pilnował okna mego Pana, aby nikt nie spostrzegł sekretów, które się tam działy; zmówiłem Anioł Pański, a chociaż to w lecie noc była jasna i ciepła, ja drżałem jakby na mrozie, dziękowałem Bogu, że wprędce zaśpiewał kogut, zagaszono ogień w pokoju, i ja będąc już nieco spokojniejszym, doczekałem wschodu słońca.

Drugie zdarzenie także było dziwne; rąbałem drwa w lesie, już słońce było ku wieczorowi, spostrzegłem: idzie drogą Pan z czarnoksiężnikiem, i wnet zwrócili do gęstego jodłowego lasu; ja będąc zawsze ciekawy, skradam się tam cicho i skrywam się za drzewem, pewnym będąc, że się tam mają odbywać jakiekolwiek czary; cicho było wszędzie, w odległości tylko stukał dzięcioł na sprochniałém drzewie, widzę na starém wywróconém drzewie siedział Pan, przy nim stał czarnoksiężnik i trzymał za głowę ogromną gadzinę, która czarnym grzbietem obwiła mu prawą rękę, nie wiem co daléj było, bo ze strachu uciekłem.

Trzecie zdarzenie jeszcze straszniejsze, chociaż ja tego nie widziałem, słyszałem jednak z ust pewnych, i o tém po wszystkich wsiach okolicy rozmawiano. O północy nasz Pan,

ten gość szatański, i lokaj Karpa, wzięli z obory czarnego kozła, poprowadzili na smętarz, powiadają, że wykopali z mogiły trupa, czarnoksiężnik włożył na siebie czamarę umarłego, zabił kozła, z tém mięsem i krwią odprawywał jakieś straszne ofiary, a co się tam działo téj nocy, nie można wspomnieć bez trwogi, mówiono: że jakieś straszydła napełniały całe powietrze, jakieś zwierzęta nakształt niedzwiedzi, wieprzów i wilków, biegały około ryczące tak, że Pan i Karpa ze strachu bez czucia upadli na ziemię; nie wiém kto ich ocucił, to tylko pewna, że po téj strasznéj nocy czarnoksiężnik znikł, nikt jego potém nie widział. Pan był ciągle smutny, chociaż miał pełno złota i wszystkiego w obfitości, czego tylko zażądał, zrobił się jeszcze okrótniejszym, nikt mu dogodzić nie mógł, i Karpę wypędził ze dworu.

Kiedy to opowiadał podróżny, słychać było szeptanie słuchaczów, *wot uże strach*, *tak strach*, *aż maroz pa skury padziraje'* i stryj się odezwał temi słowy: Musiał on pierwéj być farmazonem, albo się pobratał z niedowiarkami, a człek bez religji na wszystko gotów — no cóż daléj?

Podróżny opowiadał daléj — Karpa wysłany ze dworu, oddany był za robotnika jednemu majętnemu gospodarzowi, lecz on więcéj był ciężarem, niż pomocą, gdyż od dziecinstwa żyjąc we dworze, zrobił się leniwym, upartym i nieposłusznym, dochodziły częste skargi do Ekonoma, ten jego przenosił z jednéj chaty do drugiéj, lecz nigdzie nie mógł długo zostawać. Nareszcie prosił Ekonoma o wstawienie się

do pana, aby dano mu chatę i kilka dziesięcin ziemi, że on sam będąc gospodarzem więcéj będzie starannym. Zgodził się pan, a więc zbudowano mu nową chatę, oddzielono najlepszéj ziemi, dano parę koni, kilka krów, i innego bydła dla rozprowadzenia, nakoniec umyślił się żenić, lecz żadna gospodarska córka nie chciała iść za niego; gdyż nikt ani na nim, ani na jego gospodarstwie nie pokładał nadziei, a do tego myślili, że u niego ani wiary, ani Boga w sercu nie było.

W téj wsi, gdzie żyli niegdyś moi rodzice, był sąsiad Harasim, człowiek staranny, na niczém mu niezbywało, służył dobrze panu i najregularniéj podatki wypłacał, miał jednę córkę Ahapkę, piękna była dziewczyna, świéża, rumiana, jak dojrzała jagoda, dawniéj kiedy się ubierze i jawi się na kiermaszu ze wstążką w kosie, w czerwonéj sznurówce, świeci jak kwiat makowy, wszyscy nie mogą się napatrzeć, każdy lubił z nią potańcować i dudarz dla niéj grał najochotniéj. Ach! przyznam się, że i mnie wtenczas ona tak wpadła do duszy, że i dziś z westchnieniem wspominam.

Podobała się ona i Karpu, i postanowił koniecznie starać się o nią, lecz wiedząc, że nie lubiła go dziewczyna, i rodzice nie życzyli sobie mieć za zięcia, i swatów przysłanych od niego nie przyjęli, on, aby postanowić na swojém, idzie do pana, prosząc, aby Ahapce kazano koniecznie iść za mąż za niego; rodzice jéj, dowiedziawszy się o tém, prosili Ekonoma i całą włość o wstawienie się, że Ahapka jeszcze za nadto młoda, nie wiele pomocy zrobi w jego cha-

cie i gospodarstwo jego więcéj się chyliło do zupełnego upadku, niżby się można było czego dobrego spodziewać, a więc na prożby ekonoma i włościan, pan odłożył te wesele na drugi rok, jemu kazano po upłynięciu tego czasu pokazać co ón zrobi korzystnego, i wiele zapracuje pieniędzy.

Kochałem i ja Ahapkę, lecz o ożenieniu się z nią i pomyślić nie mogłem; obawiałem się, aby się nie narazić na gniew pana i z Karpem trudno się było sprzeczać, on był dworakiem, ze wszystkiemi czarownikami miał poufałą przyjaźń, jeśliby się tylko dowiedział o mojém przywiązaniu do Ahapki, pewnie cokolwiek zrobiłby złego ze mną. A więc w duszy tylko skrycie tęskniłem, prosiłem Boga, aby ta niewinna owieczka nie wpadła w pazury szalonego wilka, lecz się inaczéj stało.

Karpa ten człowiek bezsumienny i leniwy do pracy, idzie na poradę do Paramona, najstraszniejszego czarownika w naszéj okolicy, opowiada jemu o swém przywiązaniu do Ahapki, o warunkach, które pan jemu dał do wypełnienia w przeciągu jednego roku, słowem: prosi jego, aby odkrył sposób, jak prędko można nabyć pieniędzy, i że gotów na wszystko, choć duszę djabłowi zaprzedać, aby tylko dopiąć tego, o co się stara.

Paramon dobył ze skrzyni w papierze zawinięte jakieś ziarenka i dając jemu tak radzi: Jeżeli nie masz u siebie czarnego koguta, to dostań jego gdziekolwiek, nakarm tém ziarnem, i on przez kilka dni zniesie jajko nie większe jak gołębie, to jajko powinieneś nosić cały miesiąc pod lewą

pachą, po przejściu tego czasu, wylęgnie się z niego maleńka jaszczureczka, którą ty będziesz nosić przy sobie i co dzień karmić mlekiem na własnéj dłoni. Ona będzie rość prędko, skórzane skrzydła pokażą się z jednéj i z drugiéj strony, w ciągu jednego miesiąca zmieni się w latającego smoka, będzie wszystkie twoje wypełniać rozkazy, w nocnéj porze w czarnéj postaci przyniesie tobie żyta, pszenicy i innych ziaren, a kiedy przyleci buchający ogniem, to znaczy, będzie miał przy sobie złoto i srébro, żyj z nim w przyjaźni, jeśli chcesz być bogatym, bo jeśli rozgniewasz, może spalić twój dom i całą posiadłość.

Karpa najchętniéj spełnił tę bezbożną radę, wyhodował okropnego smoka, i te jego czary nie mogły być skryte, bo ta zmija po zachodzie słońca nieraz się zjawiała w oczach wieśniaków powracających do domow o późnéj porze; ja nocując raz w polu przy koniach chodzących na trawie, widziałem jak te straszydło leciało z szumem w krąg siebie skry rzucając jakby rozpalone żelazo pod młotem kowala, i nad dachem mieszkania Karpa rozsypało się na drobne części i znikło. Niebo wtenczas było pogodne, ani jednéj chmurki, gwiazdy po całém świeciły niebie, o Boże! pomyśliłem sobie, przed tobą nic nie ma skrytego, ty będziesz sędzią dzieł ludzkich, lecz ludzie o tém nie pamiętają.

W kilka miesięcy już Karpo słynie bogaczem, gdy przyjdzie na kiermasz, lub w jakie święto do arendarza, do karczmy wchodzi podparłszy się w boki, czerwona czapka na bok schylona, głowa zadarta, i zda się, że wszystkich ma za nic, garścią pieniądze rzuca na stół, każe podawać co

tylko mu przyjdzie do głowy, traktuje wszystkich i śmiało krzyczy, że pan jemu tak jak brat rodzony, w niczém nie odmówi, i on wszystko zrobi, co się mu tylko zechce, że Ahapka powinna mieć za szczęście, gdy może wyjść za niego za mąż, bo on za swoje pieniądze może sobie kupić żonę, jakiéj tylko pożąda.

Ahapka słysząc o tém zalewała się łzami, wiedziała bowiem, że jéj wybor i chęci rodziców niczém były, wszystko zależało od woli pana, a ta wola niemiała żadnego względu i litości, znała ona dobrze także sumienie i obyczaje Karpa, słyszała niekiedy rozmawiających sąsiadów między sobą, że się on już pobratał z Paramonem, że już dobrał sobie do usług szatana, który zgromadził dla niego mnóstwo pieniędzy, nie cieszyło to złoto młodéj dziewczyny, bo ona chciała tylko znaleść skarby w swoim narzeczonym, starannego, cnotliwego, i bogobojnego człowieka.

Już rok upływa, Karpa w mieście nakupił bogatych podarków dla pana, i przyjechał na pięknym koniu dopominać się obietnicy, posłano po ojca dziewczyny, kazano robić wszelkie przygotowanie i pospieszyć wesele. Biedny Harasim ze swoją żoną płakał nad losem dziecięcia i modlił się, aby Bóg jéj był opiekunem. Ahapka skrywała gorycz serca, aby nie rozjątrzyć więcéj żalu rodziców, zebrawszy swoje wstążki jedwabne najwięcéj lubione i kilka sztuk płótna cienkiego, które sama utkała, poszła do kościoła, i zawiesiwszy to wszystko na obrazie Matki Najświętszéj, padła na twarz jęcząc i zalewając się łzami; wszyscy tam przytomni nie mogli wstrzymać się od płaczu, po nabożeń-

stwie otarła łzy swoje i powróciła do rodziców ze spokojną twarzą jak gdyby pocieszona.

Litość i przywiązanie ku téj dziewczynie przemogły we mnie wszelką bojaźń, idę do domu w którym żył Harasim. dziwne myśli, i śmiałe zamiary snuły się w méj głowie, postanowiłem od tyrańskiwa i napaści skryć ją gdziekolwiek w odległych stronach. Idąc do wsi postrzegam Ahapkę, ona samotna chodzi po polu, płacząc śpiewała żałobnym głosem zwyczajną pieśń na podziękowanie rodzicom za ich opiekę, zbliżam się do niéj, biorę za rękę, byłem jakby nieprzytomny w tym czasie, chcąc jéj ulżyć cierpienie temi słowy oświadczam moje usługi: — Ahapko, wiem ja przyczynę łez twoich, wiem o cierpieniu ojca i matki, Karpo bezbożny człowiek zakupił pana, a wybor twój i wolę twoich rodziców, skrępował jak bezsumienny, posłuchaj mojéj rady, jeśli choć cząstkę masz takiego przywiązania do mnie, jakie ja czuję ku tobie i ku twym rodzicom. Na ziemi są wysokie góry zarosłe gęstym lasem, te ciemne bory co się czarnieją około naszych wiosek są rozległe, i ich miejsc cienistych niedójrzy ludzkie oko, te się kończą bardzo daleko, idźmy precz z tych stron, skryjmy się od wszystkich znajomych w tych dzikich pustyniach, będę twoim stróżem i przewodnikiem, świat wielki, znajdziem gdziekolwiek kątek, gdzie się uchronim, są i ludzie z litościwém sercem, dają przytułek występnym, których sąd prześladuje, lecz my nie jesteśmy winni ni przed sądem ludzkim ni Boskim i pracą gdziekolwiek zasłużym sobie na kawałek chleba. Bóg do-

bry da nam zdrowie i siły, w tych ciemnych lasach wesprze swoją opieką.

Kiedy to mówiłem, łzy oczy moje zaćmiły. Ahapka patrząc na mnie, — ja ciebie kocham rzekła, lecz nie mogę się zgodzić aby przyjąć te rady, rodzice moi będą cierpieć za mnie, niech będę lepiéj ofiarą nieszczęścia mego, aby oni tylko byli spokojni, — to rzekłszy prędkim krokiem poszła do domu.

Długo stałem na jedném miejscu, nie wiedziałem co począć, powróciłem w rospaczy do mojéj chaty, jak nie przytomny, biegłem znów w pole, błąkałem się po lasach, do żadnéj roboty nie mogłem przystąpić, wszystko w zaniedbaniu było, z tęsknoty mało nieumarłem.

Ogłoszono zapowiedzi, przyszła niedziela, Karpa z Ahapką bierze szlub w kościele, on wesoły i chełpliwy, stał prosto, włosy na głowie strzyżone po pańsku, na szyi jedwabna chustka, bóty błyszczące, odzienie z cienkiego sukna, takie jakie pan czasami nakłada, słowem, jeśliby kto nieznał, że to Karpa nasz brat, za pół wiorsty jeszcze zdjąłby czapkę i pokłonił się. Ona przeciwnie smutna, twarz jéj blada, zmieniona, jakby w ciężkich suchotach, blask oczu łzami zgaszony, i mówiono, że świéce u oboich młodych tak paliły się ciemno, że inni ze strony w strachu na to poglądali, szepcąc między sobą, — nie będzie tu szczęścia, życie ich zaćmi się smutkiem. — Po szlubie Karpa z drużyną i młodą żoną na pokłon pojechał do pana, a ze dworu do domu rodziców Ahapki, wesele było Bóg wie pojakiemu; Karpa od młodych lat był dworskim człowiekiem,

już jemu zwyczaje i obyczaje nasze wiejskie były smieszne i nie do gustu, nie przejeżdżał on przez płomienie palącéj się słomy, nie mówiono żadnych oracji, nie spiewano pieśni weselnych, nie pozwano nawet dudarza, i młodzież była bez tańcow, oto wesele w domu Harasima podobne było do pogrzebu. I prędko ztamtąd młoda para z gośćmi swymi pojechała do własnéj swéj chaty. Tam już Karpa w każdym postępku chlubił się swoim dworskim polorem i bogactwami, i chciał, aby jemu wszyscy pochlebiali.

Pozwał dudarza, jakby urzędnik jaki, rzucił jemu kilka srebrników i grać kazał, zapłacił dobrze także i kobiétom aby śpiewały, z wymuszoną uprzejmością, jakby panicz, prosił chłopców i dziewcząt tańcować. Nie było tam szczerości, jedno tylko, że jedzenia i napoje było aż za nadto; czarki z wódką prawie bez odpoczynku przechodziły z rąk do rąk. Szum w domu, muzyka gra, młodzież tańcuje, on rozpowiada o dworskiéj swéj służbie i o względach, na które u pana zasłużył. Lecz Ahapka jak zabita; było żal na nią spójrzeć.

Na podwórzu chociaż i ciemno, czas był spokojny, już północ na czystém niebie, sitko zmieniło swoje położenie; goście zagrzani napojem bawią się wesoło. W tém nagle, jakby błyskawica oświeciła izbę i jakiś nadzwyczajny szum daje się słyszeć za ścianą, pociemniał płomyk palącego się ognia, umilkli wszyscy poglądając jeden na drugiego. Karpa jakby zmieniony nieco na twarzy, i jakby nieprzytomny, głośno powiedział: — Przybył mój gość, i wnet obróciwszy się do swych przyjacioł zaczął rozmowę o czym in-

nym. Lecz po tym zdarzeniu, dziwna była odmiana w tym domie, na każdego napadła jakaś niespokojność, niektórzy z przytomnych osob widzieli niepojęte i straszne zjawiska, to na podwórzu, to w ciemnych kątach izby. Ten postrzega że jakieś straszydło obrosłe włosami z za ściany przypatruje się w okno, temu się zjawi siedzący na piecu jakiś karzeł z ogromną głową, czarny jak węgiel, ów widzi jakby owego czarnoksiężnika, który uczył pana sztuk szatańskich i robienia złota; Karpa postrzegłszy trwogę niektórych gości śmiał się mówiąc, że czad mocnéj wódki utworzył te dziwy, kazał grać dudarzowi i śpiewać pieśni, wśród szumu i wrzawy zapomnieli o wszystkiém.

Odmykają się drwi: wchodzi czarownik Paramon, z pod gęstych brwi błyszczącém okiem obejrzał gości, i u progu jeszcze stojąc, tak się odezwał:— Kłaniam wam poczciwi druchowie, niech w waszéj kompanji wesołéj radość nie ustaje, a młodéj parze życzę zgody, przyjaźni, bogactwa i zawsze także wesoło przyjmować i częstować sąsiadów i dobrych druchów.

Karpa go wita i prosi aby usiadł na ławie na piérwszém miejscu, rozstępują się goście, siada za stołem grzbietem oparłszy się o ścianę, z hardością rozpatrywał wszystkich stojących przed sobą. Karpa podnosi jemu wódki i zakąski. — A gdzież twoja Hapula młoda gospodyni? czy ona tak zajęta, lub też może mnie nie poznała, ja postarzałem, a ona bardzo młoda, jeszcze się trzeba jéj uczyć jak żyć na świecie. — Karpa przyprowadza Ahapkę, on spój-

rzawszy na jéj twarz smutną: — Nie smuć się — rzecze,— pożyjesz, pokochasz i dobrze będzie.

Akim wieśniak z jednéjże włości poddany pana K. G. bywał niegdyś z Paramonem w wielkiéj nieprzyjaźni, będąc w dobrym humorze, gdyż przy wódce nie lubił próżnować, przypomniał niezgody od dawnych czasów, założył ręce za pas, odstawił prawą nogę, w takiéj postawie stojąc przed Paramonem i patrząc mu w oczy, tak się odezwał: — A! kłaniam.

Niauczom koszka chwost swoj lizała
Aż jona ciebie u hości czekała.

Wszyscy obrócili oczy na Akima, nie radzi że on będąc odurzony wódką, ośmielił się żartować z Paramona, obawiali się żeby nie wynikło stąd jakie nieszczęście, wszyscy bowiem do tego wierzyli w siłę jego czarów, że on nie tylko może na ludzi nasyłać różne choroby i szaleństwa, ale jeżeli zechce, całe wesele obróci w wilków.

Paramon spójrzał na niego z drwiącym uśmiechem — A ty rzecze uszczypliwie, — tak się podkradasz niekiedy pod spiżarnie pańskie albo sąsiedzkie, lub tam gdzie się bielą płótna, że ciebie nie tylko stróż nie posłyszy, ale takiego gościa i pies nie zwietrzy.

— Ha! pamiętam dobrze jak mię obwiniono w kradzieży płótna — odezwał się Akim, — i ty wróżyłeś na rzeszoto, wyzywając imiona wszystkich włościan, rzeszoto się obróciło na wywołanie mego imienia i Hryszki dudarza, ekonomowa powierzyła twoim czarom, nas wtenczas siekli bez

miłosierdzia, a potém odkryło się, żeśmy niewinnie przenieśli te męczarnie. Podłe postępki twoje, i w czarach twoich nie ma żadnéj sprawiedliwości.

Tu się odezwał i dudarz Hryszka, — Ha! tak, pamiętam i ja, wartoby było za twoje kłamliwe czary, kijem popodziękować, żebyś ty i z ziemi nie wstał.

Paramon nie mógł przenieść, że kłamstwo zadają jego czarom, zaiskrzyły się oczy, poczerwieniał cały, porwał się z ławy, przelękli się wszyscy. Karpa chwyta jego za szyję i prosi aby im darował, gdyż pijani nie pamiętają co mówią; widząc ten rozruch przybiega i Ahapka, chwyta go za rękę, przeprasza, że u nich miał taką nieprzyjemność i prosi o przebaczenie, także Akima i Hryszkę obowiązują, aby oni zapomnieli o przeszłém i pogodzili się z nim. Karpa stawi na stole wódkę i błaga usilnie, aby po czarce wypiwszy jeden do drugiego, zapomnieli o tém co dawno było.

Czarownik nieco uspokojony, — dobrze — rzecze, — ja się pogodzę, bądźcie spokojni: nie tylko nie życzę sobie przerwać wesołe zabawy w waszym domu, ale one jeszcze więcéj podtrzymać, niech sobie Hryszko gra wesoło na dudzie, a Akim tańcuje — i z chytrym dodał uśmiéchem, no chodźcie, na prośby gospodarza i młodéj gospodyni wypijmy jeden do drugiego po czarce wódki, jeszcze kur niezaspiewał: teraz sama pora poweselić się. Karpa, Ahapka i goście usilnie proszą Akima i Hryszkę, aby oni siedli za stołem z Paramonem. Akim nie uciekał od wódki, a więc i Hryszka za jego przykładem wypili z rąk Paramona po kieliszku i jeszcze drugi raz powtórzyli.

— Zgoda! zgoda i pokoj między nami — krzyczą niektórzy z gości, — stoły zastawione jedzeniem, dość jadła i napoju, pijmy, hulajmy, życząc młodym bogactwa, zdrowia i długich lat. Zaśpiewali pieśni, Hryszka nadyma swój miech skórzany, brzmi śpiew i muzyka, tańcuje młodzież. Paramon zamyślony i z miną szyderską poglądał to na dudarza to na Akima, czas krótki, zgodna i wesoła brzmiała zabawa. Lecz natychmiast Hryszka zaczyna szalonego jakiegoś kozaka, goście krzyczą i proszą, aby grał *Ciareszku*, i śpiewają *Ciareszki bida stała, z kim jaho żyna spała.* On na nic nie uważa, z nikim się nie zgadza, a wszystko swoje gra bez żadnego ładu. I wnet Akim wybiega na środek i zaczyna pląsać jak szalony, kto wie po jakiemu, dziwią się wszyscy patrząc i niepojmują co się z nim zrobiło. Oczy się zaokrąglily, twarz zmieniona, proszą jednego i drugiego, aby ten przestał grać, a ów tańcować, nic nie pomaga, żadnych próśb nie słyszą, zwarjowali się oba, chcą go utrzymać, on mrucząc coś niezrozumiałego, wyrywa się, znów tańcuje i dudarz gra bez przerwy. Paramon ze strony patrząc na to i śmiejąc się głośno, nie ruszcie ich, — rzecze — niech się powesela, na drugi raz nie zechcą z każdym się zadzierać. Karpa prosi aby im darował i kazał przestać.

— Niech jeszcze pohulają, odpowiedział Paramon, to ich wyuczy, że będą umieć ludzi rozumniejszych od siebie poważać i szanować. I takiem szaleństwem dudarz i Akim długo się męczyli. A już i północ przeszła i raz drugi kogut zaśpiewał. Nareszcie Hryszka słabieje na siłach, wypuszcza

z rąk dudę i pada na ziemię zemdlony, Akim chwieje się, poczerniał cały, jakby przed śmiercią. Takim sposobem Paramon zadowolony zemstą, coś tam poszeptał, dał im wody i gdy się oni uspokoili, czarownik wziął czapkę, pokłonił się gospodarzom i poszedł do domu.

Ten przypadek pomieszał cały porządek, wszyscy goście jeden po drugim dziękując gospodarzom za ich uprzejmość i życząc bogactw i dni szczęśliwych, wychodzili za drzwi.

Tu Pan Zawalnia przerwał: — Powiadają, że kiedyś to w dawne czasy, gdy ludzie więcéj dbali o chwałę Boską, to takich czarowników palono w ogniu, lub też rzucano do wody. Słyszysz Janko, co ludzie robią, gdy się pobratają z djabłem, na świecie trzeba być ostróżnym, słyszałem ja w mojém życiu o wielu takich szkodliwych czarownikach, jakim był Paramon.

— Może to stryjaszku on robił za pomocą jakich jadowitych ziół, może dudarzowi i Akimowi dał w wódce blekotu, lub innéj jadowitéj trawy co wprawuje w szaleństwo.

— Nie trawy to robią, ale moc szatańska; otoż to szkoda, że uczeni ludzie nie bardzo czasami wierzą, sam ja jednego panicza znałem, który tak o wszystkim gadał, że zda się on nigdy nie uczył się ni katechizmu, ni dziesięcioro Bożego przykazania. No cóż daléj?

Po weselu swojém Karpa zaczął żyć nie po naszemu: w prędkim czasie wybudował drugi dóm z wielkiemi oknami, zaprowadził ogród, gdzie wiśnie i jabłoni kwitły, i mie-

szkanie jego więcéj było podobne do szlacheckiego dworku, niż do prostéj izby; dla chluby posadził pod oknami kwiaty takież, jakie rosną w ogrodzie pańskim, z których żadnéj korzyści nie ma, Ahapce zabronił nosić sznurowkę i chustkę na głowie, a kazał ubierać się w takie suknie perkalowe, jakie noszą szlachcianki. — Nie chciała ona przemieniać swego ubioru, wiedziała, że wszyscy ją widząc w dworskiém odzieniu, będą nazywać leniwą, nakoniec musiała zgodzić się z jego wolą, i w tym stroju zajmowała się polewaniem kwiatów, najemników miał wiele i było komu z sierzpem iść na żniwo. Pan u niego bywał w gościnie, miał pieniądze, miał i szacunek, ale czyż w tém jest szczęście?

Zawsze on był niespokojny w myślach swoich, żadnemu parobkowi nigdy nie powiedział łaskawego słowa, i Ahapka nie mogła trafić do jego charakteru, jéj rzadki uśmiech był dla niego szyderstwem, jéj spokojność nazywał głupstwem, jéj skromność i pacierze, które matka wyuczyła, były dla niego nieznośne, raz każe żeby z żadnym robotnikiem nie rozmawiała i gniewał się, że jest niedbała.— Bóg wie czego chciał.

Niekiedy łajał swoję żonę, że jest leniwa, wnet po zachodzie słońca idzie do spoczynku, i nie chciał żeby się zajmowała do późna jakąkolwiek robotą lub modlitwą. O północy niekiedy porywał się z pościeli, i u drzwi lub przy oknie rozmawiał nie wiadomo z kim, wybiegał za drzwi i nie wiadomo gdzie się skrywał, aż nim kur zaśpiewał.

Miał przyjaciół którym rzucał pieniądze i z którymi u-

sypiał swoją niespokojność przy wódce, bywało to, że przez kilka dni nie widziano go w domu.

W pewnym czasie, kiedy już czeladź po dziennym trudzie, poszła do spoczynku, Ahapka sama jedna, smutna, siedziała w izbie, czekając swego męża, w tém nagle światło jak błyskawica oświeciło ściany i znów ciemno, na nią jakaś napada trwoga, pogląda w ciemne kąty, jakby bojąc się czegoś, z parskiem kot rzucił się ode drzwi, i najeżony stanął wśród chaty świecąc niespokojnym okiem, i w tém wchodzi młody mężczyzna pięknie ubrany, na ręku wiele złotych pierścieni i podpasany szerokim czerwonym pasem, Ahapka wpatruje się nieznajomej twarzy, która zdawała się być dość przyjemna, wzrok tylko jego był przenikliwy i na piérwsze spotkanie, miał coś strasznego.

— Kłaniam młoda gospodyni, — rzecze nieznajomy, — cóż tak siedzisz samotna, jakby sierota jaka? Patrzysz mi w oczy, obcy tobie jestem, ale ja ciebie często widywam i znam dobrze, — a gdzież Karpa twój mężulko?

— Nie wiem: dzień trzeci jak jego nie widzę, gdzieś u znajomych, a może pojechał do miasta, słyszałam, coś o tém wspominał.

— Co jemu robić w mieście? hula sobie, korzystać ze szczęścia nie umie, złota i srébra ma wiele, a jakiż z tego pożytek, mógłby cuda dokazywać; mógłby zbudować dóm lepszy niż ten, taki, o jakim starzy mówią w powieściach, że cały świecił się złotem i srébrem, a szczérém złotem był pokryty; mógłby ogród rozprowadzić jak ten, gdzie złote i srébrne jabłka dojrzewały, gdzie śpiewały rajskie pta-

ki; pod oknem rosłyby u niego kwiaty jaśniéjsze niż gwiazdy na niebie. Ten kot jemuby mrucząc opowiadał stare, dziwne dzieje, zjechałoby się wielu panów patrzeć na te cuda, i on lepiéjby żył, niżeli król; ty jesteś młoda, przystojna i rozumniejsza od niego, przyjm na siebie rozporządzenie, ja tobie będę pomagał i świat zadziwim. To mówiąc siadł bliżéj przy niéj na ławie.

Ahapka patrząc mu w oczy; — czy dawno jesteś znajomy z moim mężem? — spytała.

— Znam jego od samego dzieciństwa, podróżuję po świecie, i służę szczęśliwym ludziom, ty szczęśliwsza od innych, tobie chcę najgorliwiéj służyć.

— Któż jesteś taki, i jak twoje imie?

— Na co znać moje imie, jestem twój przyjaciel, zgodź się tylko na moje chęci i usługi, potém się dowiesz o wszystkiém, (i sypiąc złotą na ziemię) widzisz co mogę, rzekł patrząc na nią.

— Nie jestem chciwa, pragnę tylko spokojności duszy i niech mię ma w opiece Najświętsza Matka Sirocińska. — Ledwo wymówiła imie Matki Boskiéj, on buchnął płomieniem i znikł w mgnieniu oka. Ahapka z przerazliwym krzykiem wybiega za drzwi i pada bez czucia; na tę trwogę obudzają się domowi, biegną jéj na pomoc, znajdują w sieniach, leży jakby trup, ledwo jéj mogli powrócić tchnienie. Cała ta noc była bezsenna, nie spała Ahapka i przy niéj siedzieli troskliwi domowi o jéj zdrowie.

Rano powrócił Karpa do domu: gdy mu opowiadziano o tém zdarzeniu, on się zmienił na twarzy i w niespokojnym

dumaniu długo się przechadzał tam i ówdzie. Nakoniec podchodząc do swéj żony, rzecze — cożeś zrobiła, kiedy posiano to trzeba i żąć, a inaczéj śmiech ludzki i nieszczęście.

— Nie siałem ja tych złych nasion — odpowiada płacząc, — wolę umrzeć niżli korzystać z tego żniwa.

Rzucił się do niéj z pięścią, lecz ona umknęła za drzwi i skryła się nim przeszła ta zapalczywość.

Karpo zaniedbał zupełnie gospodarstwo, i na panszczyznę rzadko kiedy posyłał swoich parobków, ekonom obojętnie na to patrzał, i we wszystkiém jemu przebaczał, bo się on oświadczył panu, że chce być wolnym i wielką summę obiecał dla wykupienia siebie i ziemi, na któréj mieszkał.

Pewnego wieczora w domu wedle swego zwyczaju porywa się, podszedł do okna, i siedział zamyślony, słychać było, że rozmawiał sam z sobą, żona prosi go aby się uspokoił, on tylko odpowiedział, — powrócę jutro, — stuknął drzwiami i poszedł niewiadomo gdzie.

Ahapka pozwała do siebie kobiétę, obawiała się sama jedna nocować, ledwo zadrzemała, czuje, że ktoś jéj ręki dotknął się dłonią gorącą, spójrzała i widzi: ów mężczyzna, co ją niedawno przestraszył, stoi dziwnie ubrany, patrzy na nią, i oczy jego pałały jak dwie świéce, na głowie czapeczka, i pas którym był spięty miały kolor czerwony jak węgle lub żelazo rozpalone, zdrętwiała od strachu, ledwo rękę mogła podjąć, aby się przeżegnać, i on znikł natychmiast, obudziła towarzyszkę swoję, opowiada jéj

to straszne widzenie; rozmawiały czas niejaki, a gdy się uspokoiły, znów ten strach jawił się przed niemi i znów znika na wspomnienie imienia Jezus, Marja, a więc wstały z pościeli, zapaliwszy ogień modliły się aż nim kogut zaśpiewał.

Po tém zdarzeniu Ahapka przed wschodem słońca posyła kobiétę do swych rodziców, aby opowiedziała o tych strachach, i prosiła ich odwiedzić i poradzić jéj co ma robić w takiém zdarzeniu.

Rozeszła się rozmowa po całéj włości, o tém, że zmij razy kilka przestraszył Ahapkę pokazując się jéj w różnych postaciach, Karpa zaś dowodził wszystkim, że to są wieści fałszywe, że jego żona ma rodzaj jakiegoś pomieszania, a może i djabeł jéj się zjawia za jakiekolwiek grzechy.

Harasim ze swoją żoną, gdy słońce już chyliło się ku wieczorowi, i w polu kończyła się robota, poszli odwiedzić swoję córkę. Ahapka przez okno kiedy ich spostrzegła, z radością wielką wybiegła na spotkanie, wprowadza do domu i ze łzami opowiada swoje cierpienie, o odmianie w życiu jéj męża, o zjawieniu się w postaci człowieka téj zmij, która jemu służy.

— Otoż to — odpowiedział Harasim, — kiedy ja jeszcze przed wydaniam ciebie za mąż, opowiadałem ekonomowi i innym dworowym ludziom, że Karpa wyhodował sobie żmija, który jego wzbogaca, śmiali się i drwili ze mnie, mówili chłop gruby, prosty, od rzeczy plecie, i gdy to doszło do pana, on rozgniewany powiedział; słuchaj chamie, kiedy ty będziesz rozpowiadać takie brednie, to wezmiesz rózek z

pięćset i pół głowy ogolę jak warjatowi: — cóż oni teraz na to powiedzą.

Matka płacząc jéj mówi, prędko zbierzem z pola, pójdziemy razem do Matki Najświętszéj Sirocińskiéj, namawiaj i jego, aby nam towarzyszył, i odprawił tam spowiedź. Bóg się zlituje, a teraz oto mam przy sobie święcone ziółka i kościelne kadzidło, któremi co wieczor będziesz izbę kurzyć, i może da Pan Bóg, że się to wszystko uspokoi.

Tak oni siedząc rozmawiali o tém i o owém, a Karpa wtenczas nie było w domu, już i zmrok, pociemniało w izbie, noc była ciepła, niebo czyste, powietrze tak spokojne, że zda się włosby nie zachwiał się na głowie, domowi po wieczerzy korzystając z pięknéj pogody, poszli nocować w polu przy koniach, inni zaś w odrynie na świeżém sianie. Ahapka tylko w domu z rodzicami swymi nie mogła skończyć przyjemnéj rozmowy. Cichutko było wszędzie, tylko niekiedy parskał knot na dogorywającéj świécy, po chwili rozdmuchała ogień i rzuciła na jasne węgle święconych ziółek. W tém dał się słyczeć za ścianą jakby szum gwałtownego wiatru, i blask przeleciał po chacie. Zadrżeli wszyscy, Ahapka strwożona — oto on — powiedziała, umilkli, i mówiąc pacierze, czekali co daléj będzie. Przy piecu stały garnki, jeden z tych podlatuje w górę, pada na ziemię i rozsypuje się w drobne czerepy, dzban z kwasem, który stał na ławie, wskakuje na stół, a ze stołu rzuca się na ziemię i rozpada się na drobne części, kot się przeląkł, zaiskrzyły się oczy i parskając skrył się pod ławę, rozmai-

te domowe sprzęty zaczęły latać z jednego kąta do drugiego.

Żona Harasima krzyżyk miedziany niegdyś poświęcony z nadaniem odpustu w Juchowiczach podczas Jubileuszu, zdjęła z siebie i włożyła na swoję córkę, mówiąc, niech ten będzie twoim obrońcą. — Gdy te słowa wymówiła nabożna kobieta, jakby grad wylatując z ciemnych kątów, drobne kamuszki, odskakiwały od ścian, i kamienie w kilka funtow wylatały z za pieca, jednakowoż rodzice i córka wzywając opieki Matki Najświętszéj, wybiegli za drzwi bez żadnego szwanku.

Zebrała się cała czeladź, poglądała ze strachem i podziwieniem na dóm, z okien i od ścian leciały kamienie rozmaitéj wielkości, nikt się tam i przybliżyć nie śmiał, wszyscy stojąc poglądali na to zjawisko i niewiedzieli co począć.

Północ przeszła, kogut zaspiewał, to strzelanie cokolwiek się uspokoiło, jednakowoż nikt nieśmiał wejść do domu, czeladnicy czekali wschodu słońca pod odkrytém niebem, a Ahapka z rodzicami poszła do ich mieszkania.

Kiedy już słońce było wysoko, bydło wypędzili w pole, i parobcy inni z kosami, inni z sochą, wyszli na robotę, przyjeżdża Karpa, znajduje dóm pusty, spotkał jednę tylko kobiétę, która przyszła z pola, postrzegłszy powracającego gospodarza; pyta on co to znaczy i gdzie jest żona, ta jemu opowiedziała o wszystkiém jak było, Karpa się przeląkł, zmieniony na twarzy, zakrzyczał, — ona mię zgubiła — i wnet poszedł do czarownika Paramona.

Wieść o tém zdarzeniu tegoż dnia rozeszła się po całéj okolicy. We dworze Pańskim inni powierzyli, że to wszystko działa moc szatańska, inni się śmiali z tego mówiąc, że się w tém ukrywa jakakolwiek swawola. Harasim oznajmił o tém parafijalnemu księdzu, prosząc aby on tegoż dnia przybył do mieszkania Karpa i poświęcił dóm, w którym się szatan tak niebezpiecznie zagniezdził.

Ku wieczorowi lud ciekawy poprzychodził z całéj włości, aby widzieć te dziwy, przyszedł ekonom i znim wiele ze dworu młodych zuchów, i ci nie wierząc w moc szatańską, byli w pewnéj nadziei, że złowią jakiegokolwiek swawolnika, nawet kilku z nich na nic niedbając odemknęli drzwi i chcieli wejść do chaty, lecz ledwo stanęli na progu, wszyscy wnet cofali się z krzykiem. Gdyż lecący kamień któregoś z nich ugodził tak, iż on tyle poczuł, że ledwo mógł przyjść do pamięci. Lud stał zdaleka około domu poglądając na te dziwy, a kamienie coraz gęściéj sypały się ztamtąd.

Karpa w rozpaczy zmieniony cały, i jakby nieprzytomny, przeklinając żonę, sąsiadów i domowych, chciał wedrzeć się do domu, lecz jemu niepozwolili. Tuż i Paramon stojąc coś szeptał, ale już czarami swemi nie mógł dać pomocy. Pan K. G. zdjęty ciekawością, tamże przyjechał i nie śmiejąc przybliżyć się do chaty, kazał okrążyć dóm i czekał jaki koniec będzie tym strachom.

Lecz oto i ksiądz wysiada, w ubiorze kapłańskim, odbył święty obrządek i gdy ze święconą wodą chciał zbli-

żyć się ku ścianom, we mgnieniu oka cały dóm pokryty był płomieniem i w prędkim czasie runęła budowa.

Zdziwiony lud, patrząc na taką zemstę złego ducha, ściskał ramionami, i każdy z tych, co tam był przytomny, z trwogą zostawił już węgle tylko i kurzące się głównie. Ksiądz powracał do domu strapiony, ubolewając nad obłąkaniem swoich owieczek. Paramon trzęsąc głową i odchodząc łajał nieszczęśliwego Karpę. — Dobrze głupiemu *jak pasław tak i wyspausia.* Po całéj okolicy, w każdéj chacie i w Pańskim dworze przez czas długi o tém zdarzeniu była rozmowa.

Karpa niewiadomo gdzie się podział po tym strasznym pożarze, skrył się i już nie odwiedzał więcéj, ni swoich przyjaciół, ni teścia, ni żony, różne było o nim mniemanie. Niektórzy sądzili, że on miał związki ze złodziejami, którzy w strony wielikołuckie lub pskowskie wyprowadzali z Białorusi kradzionych koni i Pan, żyda Chaima arendarza posłał na zwiady: niektórzy zaś z włościan mówili, że spotykali jego w rozpaczliwym stanie, i na ich zawołanie jakby dziki uciekł do lasu.

Przeszło kilka tygodni; pewny strzelec z wyżłem szedł blisko jeziora szukając kaczek, dzień był cokolwiek posępny i fale szumiały u brzegu; widzi zdaleka na piasku przy saméj wodzie czarnieje stado kruków, on wystrzelił, krucy poleciały i skryły się w borze, zbliża się i widzi trupa wyrzuconego wodą, który jeszcze fala pokrywała pianą, wnet on oznajmił do dworu, dano znać do sądu, trudnoby było poznać czyje to ciało, lecz odzienie i pierścień na ręku da-

ły im poznać Karpa; i tak on nieszczęśliwy skończył swe życie; bez modlitw i bez księdza tamże na brzegu trupa zakopali do ziemi. — Tu zamilkł podróżny.

— Powiedzże — rzecze P. Zawalnia — co się stało z Ahapką?

— Ahapka lat kilka żyła przy swoich rodzicach, od smutku i przelęknienia ciągle była słabego zdrowia, po śmierci swoich rodziców i ona jak świéca zgasła, niech króluje w niebie, za życia swoją cnotą i dobrocią była przykładem dla wszystkich kobiét naszéj okolicy. To się działo dawno, jednak że i teraz jeszcze tam, gdzie ona ze łzami kwiaty polewała, zielenią się wiśnie i jabłonie, i te kwiaty w każdéj wiośnie najpiśkniéj kwitną, dziewczęta we dni świąteczne plotą z nich wianki i ubierają obraz Najświętszéj Matki.

— Czemuż ty się nie żenił, kiedy już była wdowa?— rzekł Pan Zawalnia, — i jeszcze piérwéj kochałeś ją, miałbyś żonę najlepszą; a dobra żona jest skarb najdroższy, bo gdzie w domu miłość i zgoda, tam i błogosławieństwo Boskie. Ot i ja żyję jakokolwiek dzięki Bogu, cały ten porządeczek w gospodarstwie zapracowaliśmy razem z moją nieboszczką.

— Po tém smutném weselu, prosiłem pana, aby mi pozwolił iść w cudze strony, gdzie łatwiéj nabyć pieniądze, dla podtrzymania gospodarki, dla opłaty podatków, a jeszcze miałem i to w myśli, że będąc daleko, prędzéj zapomnę o wszystkiém tém, co mi ciągle stało przed oczyma i pogrążało w smutek. Błąkałem się lat kilka po Rossji, blisko No-

wogrodu i Starej-Rusi, i byłem nawet pod samym Petersburgiem, ciągle się zajmując najtrudniejszą robotą tam, gdzie przeprowadzali drogi przez bagniste kępiny i dzikie lasy, kopałem rowy głębokie cały dzień niekiedy stojąc w wodzie, wszystko to dzięki Bogu przeniosłem bez nadwerężenia mego zdrowia, i powróciłem do domu z pieniędzmi i tu już mi opowiedziano o tém strasznem zdarzeniu z Karpą, i o śmierci nieszczęśliwéj Ahapki.

— A Paramon czy żyje?

— Umarł bez spowiedzi i mogiła jego w polu bez krzyża.

— A cóż Janko, jak się tobie podoba opowiadanie nasze proste, to rzecz prawdziwa i łatwiejsza do pojęcia niż historja dawnych pogańskich Bogiń i Bożków, o których mi mówiłeś, takiéj bajki nikt nie spamięta, chyba tylko człowiek uczony.

— Lubię podobne powieści, wiele w tém narodowém rojeniu istnéj prawdy.

Gdy Pan Zawalnia rozmawiał zemną i między czeladzią, słychać były te słowa, *wot dobry, dak dobry, usiu noczyby ni spau da słuchau:*

— No! będziemże teraz słuchać — powiedział Zawalnia, co nam powie twój towarzysz; lecz w twojém życiu zdarzenia straszne i ciekawe.

POWIEŚĆ DRUGA.

ZUCHWAŁE POSTĘPKI.

—

Znałem i ja w mojém życiu takiego, co był podobny do Karpa, i za to przecierpiał. Teraz świat zepsuty, wielu ludzi zuchwałych, leniwych, gotowych na wszystko złe, a kto im co dobrego mówi i słuchać nie chcą. I ja pamiętam, rzekł Pan Zawalnia lepsze czasy; ilu to Panów było dobrych w tych stronach, miło było spójrzeć jaka skromność i spokojność panowała w świątyni Pańskiéj, każdy koronkę i książeczkę miał w ręku, uszanowanie było dla starszych i miłość braterska, a teraz w kościele tylko słyszysz szepty i śmiechy, zda się, dla tego tylko przyszli, aby pokazać swoje modne ubiory. Moda i farmazonija ich zgubiła, a z niémi i inni cierpią.

— Mnie się zdaje, stryjaszku, że ludzie zawsze są ciż sami, i dawniéj byli źli i dobrzy równie jak i teraz, byli szczęśliwi i nieszczęśliwi.

— O nie, Janko, tobie nie widzieć, co starzy widzieli. Nie powrócą dawne czasy, lecz może będzie jeszcze i gorzéj. No, mówże nam swoją powieść, — rzekł obracając się do podróżnego.

— Kiedy byłem jeszcze młody, pamiętam, żył w naszéj wsi wieśniak Anton; miał dobrą gospodarkę, ubóstwa nie doświadczał, a że był bezdzietny, więc przyjął dziecko niewiadomo jakich rodziców; to ochrzczono i dano imie Wasil; hodował jak swoje własne; chłopiec wyrosłszy bydło pędzał w pole, i był wielki hultaj i swawolnik; zawsze skargi na niego, albo krowy puści na zasiane pola, albo kogo wyłaje grubemi słowami; albo innego kamieniem ugodzi; idą na skargę do Antona, lecz Anton lubił go, i gdy mu co mówiono, on jakby nie słyszał; pobłażał we wszystkiém, a ten rosł i stawał się coraz gorszym i zuchwalszym.

Zebraliśmy się razu jednego na pańszczyznę; było to po Ś. Pietrze, i Wasil z chaty tamże był przysłany na robotę; on swoim obyczajem z każdym się zadzierał, ani o jednym człowieku dobrego słowa nie powiedział. Był to w tenczas dzień bardzo gorący; Wójt kazał położyć kosy i zakąsić czém kto miał, bo była już pora obiadowa i czas odpoczynku; więc usiadłszy na łące w koło, rosprawialiśmy o tém i o owém; w tém patrzym aż jeden robotnik, który się od nas oddalił był nieco, stojąc przy gaju macha ręką i woła do siebie, krzycząc: „prędzéj, prędzéj! chodźcie tu, pokażę wam dziwy!"

Bieżym tam wszyscy, robotnik pokazując ręką na bliskie bory, „patrzajcie co się dzieje!" rzecze, i my widzim

przed sobą niepojęte cuda. Leśnik idzie po borze, głową wyżéj nad sosny, a przed nim wybiegają na pole ogromne stada wiewiórek, zajęcy, sarn i innych zwierząt; na powietrzu stada cietrzewi, kuropatw, i innych ptaków precz odlatują; Leśnik wychodzi z lasu, zniża się nakszałt małego karła i wnet z pola i z łąk podjęły się motyle i inne owady jakby ciemna chmura zalegając nasze okolice.

Wasil zuchwały człowiek, pochwycił kamień na polu, podbiega tam gdzie Leśnik, widzi wśród trawy i rzuca nań kamieniem, krzycząc: „zgiń przepadnij!" Leśnik wrzasnął okropnym głosem, że aż liście się posypały z drzew, podjął się z trawy niby czarny ogromny ptak, i szumiąc skrzydłami, skrył się za lasem. Nas napadła trwoga, patrzamy wszyscy na Wasila, dziwiąc się jego odwadze, a on chlubiąc się ze swego postępku, śmiał się do rospuku. Był między nami jeden człowiek doświadczony, który rzekł: słyszałem od starych ludzi, że podobne zuchwalstwo sprowadza nieszczęście; wypalą się tu lasy i gaje, będzie upadek na bydło, lecz i tobie Wasilu nie ujdzie bez karnie ten zuchwały postępek.

— Co mi do tego, odrzekł Wasil, ja rad jestem, że szatana dobrze kamieniem trafiłem, niech nie wypędza z naszych lasów ptaków i żwierząt.

Rozeszła się o tém gadanina po całéj okolicy; podobni jemu chwalili jego odwagę, a on wszędzie chlubił się ze swego postępku; lecz ludzie doświadczeni, co lepiéj to rozumieli, z pogardą słuchali przechwałek, i Anton, człowiek cichy, zasmucił się, kiedy o tém posłyszał.

Drugi postępek jeszcze był straszniejszy; gdy wspomnę, aż włosy na głowie powstają. Razu jednego także na pańszczyźnie przątaliśmy siano; dzień był jasny i spokojny; od wschodu słońca pokazał się obłok i daleko, jakby pod ziemią odezwał się grzmot; w tym widzim nakształt słupa wicher idzie, podnosząc w górę piasek i wszystko co się popadło na drodze, a kręcąc się wirem, mija po polu blisko naszego sianożęcia; z podziwieniem poglądamy na to, aż oto Wasil rzuca grable, bieży na pole, spotyka słup wichru i wyciągając doń rękę, krzyczy: „Jak się masz, bracie!" — a z kłębów kurzawy ktoś mu podaje, czarną jak węgiel rękę. Słup kręcąc się, daléj poszedł po polu. Strach nas wszystkich ogarnął; powrócił Wasil, lecz nikt do niego słowa przemówić nie śmiał. Poznali wszyscy, że on za pan-brat z duchem przeklętym.

Od tego czasu nikt z nim gadać nie chciał; wszyscy się obawiali i ci nawet zaczęli od niego uciekać, z któremi był pierwéj w związkach przyjaźnych.

Całéj włości wiadome to zdarzenie, doszło do uszu Pana i Ekonoma; oni niechcieli temu wierzyć, i kiedy raz we dworze Pan zapytał się samego Wasila, czy to prawda co mówią, on odpowiedział łając wszystkich: „tym głupim ludziom zawsze się cokolwiek przyśni, aby roznosić fałsze i plotki; i Pan dał pokoj.

Anton, dobry człowiek, zawsze mu wmawiał bojaźń Bożą, starał się poprawić, przynaglał chodzić do kościoła i modlić się; on śmiał się ze wszystkiego, wszystkiém pogardzał i szedł do karczmy zamiast na nabożeństwa.

Nareście postanowił ożenić się. Anton sądził, że dobra żona i odmiana w życiu, poprawi go. Rozsyłał swatów nie tylko do swojéj, ale i do cudzéj włości; lecz wszędzie odmówiono, bo sława o złych jego obyczajach daleko się rozeszła.

Wasil pogardzał wszystkiemi i drwił ze wszystkiego, mówiąc, że on już dawno sam dla siebie upatrzył narzeczoną, która się nad inne podoba. Niechciał pierwéj o tém nikomu mówić, a teraz objawia wszystkim, że się kocha w Alucie *), córce Aryny, że się z tym oświadczył przed córką i dostał przyrzeczenie.

Posłyszawszy to Anton, był bardzo zmartwiony, i radził mu zaniechać tego zamiaru, gdyż o Arynie chodzą wieści, że jest złą kobiétą i słynie czarownicą, a jabłka od jabłoni nie daleko padają, więc może i córka będzie taką, wszakże wszystkie rady były próżne i Wasil jeszcze więcéj zaczął uczęszczać do domu Aryny.

Sąsiedzi patrząc na to przywiązanie do Aluty, jedni śmiejąc się mówili: „poznał równy równego, będzie para dobrana.“ Drudzy chwalili; że Aluta będzie dobra żona, nie pójdzie w ślady matki; byli i tacy co mówili, że miłość jego nie jest prawdziwą; że mu podano coś w napoju i on choć za pan-brat zdjabłem, trafił na lepszą i sam został oczarowany.

Najgorliwiéj starał się Anton od zamiaru go odprowa-

---

*) Helena.

dzić; nakoniec pogroził, że się go wyrzecze, żony nie przyjmie do chaty i do zaprowadzenia gospodarstwa nie poda mu ręki.

— Nie proszę niczyjéj pomocy, odpowiedział Wasil, znajdę ja środki w sobie, będę miał pieniądze. Opiekun takj jak ty, może sam przyjdzie kiedy do mnie, prosząc pomocy.

Anton poszedł do kuma Marcina. Był to człowiek poczciwy i mówny, rad każdemu poradzić i pomodz, dla tego był lubiony w całéj włości. Marcin najchętniéj obiecał wejść w ten interes i odprowadzić młodego człowieka od przedsięwzięcia. Dał nawet słowo, że będzie starał się wszędzie mu towarzyszyć i w każdym razie odstręczać go od tego związku.

Wasil kiedy posłyszał od opiekuna, że nie będzie miał żadnéj pomocy, postanowił szukać skarbów, chociażby one zaklęte i w mocy szatańskiéj były; od wsi w któréj mieszkał, w odległości dwóch wiorst, był wzgórek przy drodze, otoczony z dwóch stron jodłowym lasem, a na wzgórku leżał ogromny kamień zwany od ludu *Kamieniem Zmijowym*. Starzy ludzie tak o nim opowiadali.

Razu jednego, letnią porą, pod czas cichéj, pogodnéj nocy, leciał ogniem buchający Zmiéj, z północy ku południowi, niosąc jakoby z sobą wiele złota i srébra, dla grzesznika, który djabłowi zapisał duszę. Widzieli to podróżn i lud idący z pańszczyzny. Nagle otwarło się po błękitnéj przestrzeni niebo, światło wielkie rozlało się, lud pada, modląc się na kolana, a Zmij uderzony promieniem niebieskie-

go światła, drętwieje cały i upada na wzgórku i obraca się w kamień. Skarby zaś złota i srèbra, które niosł z sobą, tamże na miejscu same zakopały się do ziemi, i od tego czasu w nocy jawiały się po różnych miejscach pagórka pod rozmaitemi postaciami. Jedni widzieli płaczkę siedzącą na kamieniu, która sobie łzy ocierała chustką płomieniem pałającą, drudzy idąc drogą o późnéj porze, postrzegali Karłów czarnych i grubych jak bęczka, tańcujących na pagórku; innym zjawiały się czarne kozły, które z ziemi skakały na kamień, a z kamienia na ziemię, i wiele innych dziwów.

Mówiono jeszcze, że jeśli się kto ośmieli przy tym kamieniu nocować, temu się dadzą owe skarby zdobydź. Wasil był śmiały, nie obawiał się strachów, bo już się raz z szatanem, co jechał na wichrze, przywitał się jak z bratem.

Po zachodzie słońca, gdy zmrok wieczorny pokrył pola, idzie na wzgórek i siada na kamieniu; chmury pokryły niebo, coraz ciemniéj w polu, wszędzie głucho, w lesie który się czernił przed nim, odzywa się krzyk sowy; Wasil widzi przed sobą snujące się dziwotwory, pełzną sykające węże z pod kamienia, tańcują wsplotach około straszydła z psiemi głowami na kozich nogach; Wasil śmiało poglądał na to, myśląc, że zaraz tu jemu pokażą się skarby; w tém widzi, że ktoś zwraca z drogi i zbliża się. Był to Marcin.

— „Co tu robisz; zapytał się z uśmiechem, pewno skarbow szukasz?"

— „Tak skarbów, lecz po co tu przyszedłeś? zatrzymałeś mię u celu, wyrwałeś z rąk moich szczęście; warto żebym ci głowę rostrzaskał kamieniem.

— „Nie gniewaj się, powiem ci o lepszych skarbach,"— i siadłszy przy nim na kamieniu „słuchaj, rzecze, Wasilu, lepiéj idź do domu, zdrowie, poczciwa praca, to skarb najdroższy dla dobrego człowieka, źle kto szuka pomocy nieczystych duchów, jeszcze młody jesteś, pracuj, Bóg dopomoże. Anton opiekun twój, bezdzietny; jeśli będziesz posłuszny, wszystko co ma, tobie przekaże."

Wasil rozgniewany plunął, i mrucząc odszedł.

Od tego czasu nie jawił się w domu. Anton widząc coraz większy upor, dał pokoj, i spokojnie czekał co z tego wyniknie. Znajomi przynosili rozmaite wieści o Wasilu. Jedni mówili, że znalazł towarzystwo jakichś hultajów, zajmuje się z niemi kradzieżą, nabywa pieniędzy i przepiwa w karczmie; drudzy, że żyjąc u Aryny, uczy się czarów, i nawet widzieli jak z Alutą i Aryną chodził po lesie i po trzęsawicach, około jezior, zbierając zioła, na których nigdy rosa nie osycha *); inni utrzymywali, że z za krzaku nawet słyszeli, jak Aryna wyrwawszy z ziemi mech jakiś, opowiadała straszliwe jego skutki.

Marcin stały w przedsięwzięciu, szukał aby się z nim gdziekolwiek spotkać, lecz niebyło sposobu. Nie śmiał iść do domu Aryny, bo obawiał się gościnności czarownicy.

---

*) Trawa *Rosiczka*, rośnie na kępach, i używa się przeciw czarom.

Razu jednego w dzień niedzielny ku wieczorowi, ten ze znajomym, ów z kumem, idą do karczmy, aby tam przy wódce pogadać, poradzić się o tém i o owém, i wesoło czas przepędzić. Idzie tam i Marcin w nadziei, że może się spotka z Wasilem.

Siadają za stół. Żyd Josiel rad gościom, nalewa wódki, stawia na stół i kredką zapisuje na ścianie, robiąc umowę, że kiedy przyjdzie jesień i będzie chléb nowy, to przyjedzie do nich, potraktuje wódką gospodarza i gospodynię, a oni będą znać się na grzeczności, i nie pożałują w ziarnach różnego rodzaju zboża.

Wchodzi Marcin. Radzi niektórzy, że go obaczyli, sadzą za stół, traktują wódką; zaczęła się rozmowa o Wasilu i jego kochance; niektórzy chwalili Alutę, że dobra dziewczyna, i byłaby dobra żona, gdyby wyszła za mąż za dobrego człowieka, a nie za Wasila, który się pobratał zdjabłem; było kilka pijanych, co i Wasila chwalili; inni zaś Wasila, Alutę i Arynę, nazywali najniegodziwszemi ludźmi.

Gdy się ta sprzeczka i szum przedłuża, żyd Josiel stojąc u końca stołu — „posluchajcie, rzecze, niesprawiedliwie mowicie o Wasilu, — Wasil clek dobry i akuratny; kiedy pryjdzie z towarysami do mnie, to zawse placi gotowką i zawse ma pieniędzy, a Aluta, aj da Aluta, dobra dziewcyna, jak się dobre odziewa, jak panienka, a, i u Aryny ja nić zlego nie widzę, — nu co, ze ona caruje, ona caruje dla tego by mieć pieniędzy, a pieniędzy bardzo potrebne dla kazdego clowieka; ona i pomaga, lecy trawą ludzi.

Gdy się przedłuża ta rozmowa, z wielkim pędem i stukiem odmykają się drzwi, wchodzi Wasil z zadartą głową, czapka na bok schylona, i z nim kilka towarzyszów; spójrzał na stronę, obaczył Marcina i brwi nachmurzył.

— Jak się mas Wasilu — rzecze Josiel — jak dawno ciebie nie widziałem, juz dzień temu treci, ja i moja Sora myslili co z nim jest, i teraz tylko co z ludźmi gadałem o tobie.

— Ja wiem co ludzie o mnie gadają, wiatr unosi, a psy szczekają, niedbam na nic, — siadł na ławie, i łokciami wsparty na stół, krzyczy, — „daj nam wódki, lecz dobréj.” —

— A moze Wasil, kaze dać wódki słodkiéj — ja prywiozłem z miasta, choć ona kostuje drogo.

— Daj drogiéj — i rzuca kilka grzywników na stół. Żyd natychmiast podaje kieliszek, i butelkę wódki.

Za drugim stołem siedzący, patrzali na to z zadziwieniem, inni zaś poglądali z ukosa, szepcąc między sobą z szyderskim uśmiechem. — Maksim, który piérwéj niż inni przyszedł był do karczmy i już się dobrze podweselił, zaśmiał się głośno i zakrzyczał. — Oho! brat Wasil, jak widzę ty musisz być bogaty, nie po naszemu, już pijesz pańską wódkę, pewno nocowałeś przy zmijowym kamieniu i znalazłeś pieniądze, — albo może Aryna mająca być twoją teścią, przez jakie czary nasypała tobie srébrem pełne kieszenie. — Nu da zuch!

Wasil patrząc z gniewem, — do ciebie rzecze, nikt się nie odzywa, z naszego towarzystwa, i nikt nie zaprasza do

rozmowy, więc się nie wtrącaj, a inaczéj zawiążę tobie gębę tak, że się drugi raz nigdy nie odważysz gadać nie dorzeczy.

— Zawiążesz mnie gębę — oj! oj! patrzajcie już się wyuczył czarować od Aryny, umie gębę zawiązywać, oj! oj! patrzaj żebyś nie był kulawy, jak twoja mająca być teścia, — a czy wiesz dla czego ona kulawa trochę na lewą nogę?

— Milcz, kiedy z tobą nikt nie chce gadać.

— Nikt nie chce gadać, więc będą słuchać, a ja opowiem wszystkim; — posłuchajcie, opowiem wam, dla czego Aryna kulawa, tę sztukę jéj wypłatał Hryszka, sam mi opowiadał to pod sekretem.

— Razu jednego wieczorem po zachodzie słońca, z pola z kosą powracał do domu, i posłyszał głos czarownicy, która wyzywała krowy nazywając każdą podług rozmaitych farb sierści; i podczas wieczornéj ciszy, słychać było jak się po wsiach krowy odzywały rykiem; zaryczały także i w jego oborze; on się przeląkł, bo trzeba było pożegnać się z mlékiem, — bieży tam zkąd się głos odzywał, aby dowiedzieć się kto ta jest czarownica; — podkrada się manowcami, i cóż widzi? — Aryna siedząc na płocie z rozczochranymi włosami, dzikim śpiewem odbywała czary.

Będzie źle, — pomyślał sobie, trzeba jakkolwiek temu zapobiedz; bieży więc do domu, i kładzie na wrotach obory, święconą trawę i świécę woskową; ledwo się oddalił kilka kroków, widzi, przylatuje sroka, rozrzuca ziółka, i kluje świécę; Maksim bieży do chaty, chwyta karabin nabity dro-

bnem śrotem; strzela — posypały się piórka, sroka jednak precz uleciała.

Na drugi dzień posłyszał, że Aryna raniona w lewą nogę i chora leży w pościeli; zrozumiał całą rzecz, i myślał sobie: ma pamiątkę — jednakowoż obawiał się zemsty, jakoż w krótkim czasie zawiązała na niego *załom* w życie — lecz on załom spalił na drwach osinowych, i czarownica sama tylko co nie zginęła.

Wasil w gniewie, chwycił butelkę, rzucił na Maksima trafił w same piersi; skoczyli jeden do drugiego i zawiązała się bitwa.

Na szczęście z blizkiego dworu Ekonom jechał konno, i słysząc przeraźliwy krzyk arendarza — zwrócił do karczmy. Josiel bieży na spotkanie ekonoma.

— „Aj dobrodzieju, zabojstwo w karczmie, gwałt co te pijacy — szkody mnie narobili."

Zeskoczył z konia Ekonom, mięsza się do tłumu, i krzycząc grozi, że jutro za pijaństwo wszyscy będą najsrożéj ukarani — i każdy z nich musi zapłacić za uczynioną szkodę i wraz ucichła wrzawa.

Ekonom pędzi ich z karczmy, i każe wszystkim iść do domów swoich, a tak rozeszli się w różne strony, grożąc jeden drugiemu zemstą.

Josiel opowiedział Ekonomowi jak co było, całą przyczynę zwady, uniewiniając jednak Wasila.

— Trzeba o tém pogadać z panami, głupcy bredzą, sami niewiedzą co, krzywdzą napróżno biedną wdowę i dziewczynę, która niczém nie jest winna; gadają o jakichś cza-

rach Aryny, ja przecie tego niedoświadczyłem, a wiem tylko, że ona ziołami wielu ludziom pomaga; — ot niedawno sam widziałem, jak we dworze, Pannie Teresie wyleczyła liszaj na twarzy; — prawda, że kładąc do zimnéj wody jakieś kamuszki, szeptała, i zimna woda wrzać zaczęła jakby na ogniu, kazała myć tą wodą twarz, i Panna Teresa wraz wyzdrowiała. Takie czary nie tylko nikomu szkody nie robią, lecz owszem są pomocne.

— Jak Pan Ekonom scerą prawdę mowi, niech Pan tak powie Jegomości i Imości, bo az zal słuchać, kiedy tak ludzie krywdzą. Aj była u mnie dobra wodka słodka; butelkę rozbili pijacy i wodkę wyleli. Sora podaj — tam jesce jest troche słodkiéj wodki — podaj tu Panu Ekonomowi— i prynieś marynaty na zakąskę. U mnie jest predni scupak marynowany.

Ekonom wypił wódki, zakąsił, uspokoił arendarza, że mu będzie za wszystko zapłacono — siadł i pojechał.

Nazajutrz Aryna przychodzi do dworu zapłakana — i opowiada Panom, że nie życzliwi ludzie wszędzie o niéj gadają, jakoby używała czarów dla szkodzenia drugim, zaplatając załomy i odbierając mléko krowom; — przysięgała, że nigdy nic podobnego nie robiła, owszem starała się ludziom usłużyć w chorobach i w rozmaitych przypadkach, lecząc ich trawą, któréj skutki jéj tylko wiadome — a ta nieżyczliwość zrobiła się w całéj okolicy. O Wasilu, którego wychował Anton, gadają także, że jakoby i on pobratał się z djablem, i to szczery wymysł, prawda, że Wasil jest młody człowiek zuchwały, gdyż nie doświadczył je-

szcze nieszczęścia w życiu, lecz z czasem się odmieni i będzie lepszym i rostropniejszym, — on się stara o moję córkę, lecz i tę sierotę — ludzie chcą krzywdzić, zle o niéj gadając.

— Słyszałem ja o Wasilu, że on bywa i nie posłuszny swemu opiekunowi, i jakoby spotkał się z wichrem i witał się z nim jakby z swoim bratem; — to się wszystko niegodzi robić, lepiéj trzeba żyć z Bogiem, powiedz Wasilowi niech głupstwo nie robi, chodzi do kościoła, i pracuje, nu — idź że do domu i bądź spokojną, ja dla córki twojéj sprawię wesele we dworze; bo mówiła mi o niéj Ekonomowa, i od innych słyszałem, że dobra dziewczyna i pracowita.

Tegoż dnia Pan kazał zawołać Antona i Wasilowi rozkazał przeprosić swego opiekuna, Antonowi zaś żeby jemu nie przeszkadzał w tém ożenieniu, lecz owszem starał się pomagać, gdyż oni oboje są sieroty; i sam obiecał oddzielić mu najlepszéj ziemi i dać na zaprowadzenie bydła.

— Ależ to i Pan pewno słyszał o tém, że ludzie gadają, jakoby Aryna czarownica i skarżą się drudzy, że krowy wywoływa, i inne robi szkody, niekiedy przemienia się w srokę i lata wszędzie, i to nawet widziano.

— Niesłuchaj tych plotek, Aryna dobra kobiéta i Aluta córka jéj pracowita dziewczyna, będzie dobrą żoną i dobrą gospodynią — bądź spokojny, ja za to ręczę i sam ty będziesz kontent.

— Pańska wola — rzecze Anton — zmarszczył się i skrobiąc głowę poszedł do domu.

Po kilku dniach dano na zapowiedzi parafijalnemu księ-

dzu, wkrótce i wesele; zebrała się do dworu cała włość, sądzę nie dla tego, aby byli życzliwi nowożeńcom, lecz wiedzieli, że będzie suto jedzenia i wódki w obfitości. Niebyło tam wiejskich weselnych obrzędów, jak zwykło się dziać po wsiach, lecz przed ślubem młodzi padli do nóg Panom swoim, prosząc błogosławieństwa; potém Antonowi i Arynie, i po ślubie toż samo uczynili. Aluta pięknie była ubrana— Pani dorowała jéj jakieś zausznice, które przed ogniem jakby skry rzucały; czerwona sznurówka z złotemi galonami, czerwone wstążki wszędzie, i kiedy siadła za stołem i rozpletli jéj czarną kosę, z czarnych oczu po białym licu, łzy się potoczyły, wszyscy na nią z czułością patrzali, po tém zaśpiewali kobiéty pieśń weselną, która się śpiewa zwyczajnie sierotom wychodzącym za mąż; wszyscy płakali nawet i ci co piérwiéj o niéj źle mówili; ta pieśń tak mi się podobała, że ją i teraz umiem na pamieć.

Pieśń weselna dla sieroty.

Ach znać, znać pa wiasieliku
Szto nia baciuszka addajeć,
Dwor wialikij, a zbor nia wialikij;
Niet u mianie radzinuszki,
Oj saszlu, paszlu sieru ziaziulku
Pa radzinuszku.
Ziaziulka lacić
Radzina jedzieć,
Ach, pasłałab ja sałowieńku
Da saławuszka atkazywajeć;

Ach, pasłałab ja ziaziulku
Pa swojeho tatulku;
Da za rodnieńkim baćkom
Sieraja ziaziulka nie pryletajeć,
A tatulka admaulajeć,
„Radby ja ustaci
K' swojemu dziciaci,
I paraduszku daci;
Hrabawyje doski
Scisnuli nożki,
Da nie mahu ja ustaci.
Syraja ziemla
Dzwiercy zalehła,
I akoszeczka zasłaniła;
Majaho baciuszku
Na wiasielika nia puściła."

Przyznam się, że nie mogłem i ja wstrzymać się od łez, widząc przed sobą Alutę i słuchając téj pieśni; ona była prawdziwą sierotą, gdyż prócz staréj matki nie miała drugiego rodzeństwa; tę rodzinę Pan sprowadził ze stron odległych, oni piérwéj gdzieś daleko żyli za Dźwiną — i ojciec Aluty umarł zaraz po przyjeździe w nasze strony.

Zebrani goście hulali, pili jeden do drugiego, dobrze się podweselili, duda zagrała pieśni i tańce nie przerywały się noc całą; — lecz nie było żadnych bezporządków, gdyż Panowie i Ekonom odwiedzali często wesołe zgromadzenie.

Po tych zabawach godowych, od Pana i od Antona ob-

darzony wielką pomocą, miał już kilka koni, krów, i innego bydła w samym początku gospodarstwa; zabudowanie nowe i dogodne, kilka dziesięcin urodzajnéj ziemi, wystarczały na wszystkie jego potrzeby.

— No, ciekawy jestem, powiedział Pan Zawalnia— czy poprawiła jego Aluta, bo jest przysłowie: *kto się żeni, ten odmieni.*

— Nie, panoczek, mówią ludzie, że gdy się rodzi zrzebie łyse, z tąż łysiną i wilcy zjedzą.

— Dziwne rzeczy na świecie! mówże więc daléj.

Wasil na swojéj gospodarce był nadzwyczaj nieszczęśliwy, chociaż przez czas niejakiś zdawał się być lepszym; rzeczy dziwne! że jego ciągle bieda spotykała jedna po drugiéj. Ze wsi wypędzą pastusi bydło w pole, z lasu wypada wilk, chwyta barana; rozpatrzą bydło i znajdują, że ten baran był Wasila; zdarzało się to kilka razy — i zawsze wilk, jakby wybierał to tylko, co należy do Wasila. Chodzą gęsi po polu, lis wpada, wydusi je,— gęsi należały do Wasila; krowa jego nieraz zabłąkała się koło jeziora, wpadła na błotniste miéjsce, póki dano pomoc, już się utopiła, i te ciągłe szkody doprowadziły go prawie do największego niedostatku.

W krótkim czasie zapalił się bor, zbiegła się cała włość; nie było pomocy, płomień jak fala na jezierze rozszedł się po całym borze; buchając w górę chwytał się gęstych gałęzi jedlin i sosen, a dym jakby najgęstszy tuman zaćmił niebo i ziemię; tak, że ledwo odetchnąć można było; biegając po lesie i bijąc miotłami po płomieniach, popaliliśmy odzienie na sobie; lecz

już nie było ratunku, blizko był dom Wasila, zaleciała skra do gumna i spaliło się zboże. Wtenczas wszyscy włościanie głośno rozprawiali, że to jest zemsta Leśnika, którego on niegdyś uderzył kamieniem, kiedy ów żwierząt i ptaków przeprowadzał z jednego lasu do drugiego; a stary człowiek przepowiadał mu pożary i upadek bydła.

Wasil w nieszczęściu jeszcze więcéj zaczął odwiedzać karczmę; żona jego i teścia pracowały dzień i noc, i starały się go odprowadzać od złego nałogu.

Powrócił znowu do zuchwałych i bezbożnych swoich postępków. Pewnego razu, Anton, Marcin i inni, co jemu szczerze sprzyjali, przyszli do niego wieczorem i napominali, żeby cierpliwie znosił nieszczęście, a może kiedykolwiek Bóg wszystko przemieni na lepsze. W tém nadeszła chmura i zrobiła się burza na podworzu, on siedział przy oknie zamyślony; wicher zawył za ścianą, a on jakby nieprzytomny powiedział: mój brat wyjąc przemknął mimo méj chaty i poleciał hulać po szérokich polach i gęstych lasach, prędko i ja za nim tamże pośpieszę. Słysząc te jego słowa przelękli się wszyscy i żona płakać zaczęła, a gdy Anton wymawiał mu, że powraca znów do bezbożnych postępków, stuknął drzwiami zezłością i wyszedł z chaty.

Pewnego dnia ku wieczorowi, idzie do karczmy i tam znajduje starych swoich towarzyszów, z któremi niegdyś hulał; a więc znowu zaczyna się pijaństwo. Wasil, kiedy już dobrze podpił, mówi do nich: cierpię nędzę, ale wraz będę bogatym, przyszła mi dobra myśl do głowy; pójdę nocować do Zmijowego Kamienia, pokłonię się djabłom, a może mi

nie pożałują pieniędzy. Gdy zaś z niego się śmieli, iż nigdy się nie odważy, aby tam przenocować, a było właśnie już pózna pora, on schwycił czapkę: „otoż pokażę, że się nie boję strachów!" — rzucił w karczmie towarzyszów, i poszedł na wzgórek do Zmijowego Kamienia, i ztamtąd już nie powrócił do domu.

Przechodzą dnie, tygodnie i miesiące; nie ma Wasila; żałują go znajomi, żona i teścia ciągle płaczą; zniskąd nie ma wiadomości, czy żyje, czy umarł.

Różne były sądy i domysły między ludźmi; jedni mówili, że blizko Wielkich-Łuk i Pskowa, przechodził bory z bandą rozbojników; drudzy utrzymywali, że jakoby Leśnik zabłąkał go w lasach; niektórzy chodząc po grzyby słyszeli głos jego i śmiechy Leśnika; różne były gadaniny, Wasil zginął na zawsze.

Stara Aryna patrzając ciągle na łzy swojéj Aluty, straciła zdrowie i pośpieszyła do grobu; Aluta i teraz jeszcze żyje w pańskim dworze, ni wdowa, ni mężatka.

— Ot! skutki pijaństwa i zuchwałych postępkow— rzekł Pan Zawalnia,— miał dobrego opiekuna i Panów dobrych, co jemu dawali pomoc, żyłby spokojnie sobie, trzebaż było zaprowadzać zwady z Leśnikiem, szukać zaklętych skarbów, witać się na polu z wichrem, i nazywać go bratem; widzisz Janko, jak młody człowiek powinien być ostróżny, zawsze trzeba piérwéj pomyśleć, niż co robić.

— Nie wiem stryjaszku, w czém on tu wykroczył, że wicher nazwał bratem, i teraz podczas burzliwéj nocy wiatr wyje, śniegiem bijąc w okna, żebym ja do niego powie-

dział: leć bracie na północ, może i ja za tobą prędko pośpieszę, jaki w tém grzech?

— Nazywaj bratem tylko takiego, jakim jesteś sam, — a o wichrze prosty lud mówi, że to djabeł jeździ po polu, co niekiedy i szkody robi.

Gdy tak rozmawiał Pan Zawalnia, podróżny spójrzał na Janka, i kiwał głową, że człowiek młody nie wierzy, bo nie doświadczył.

— Nu, teraz nam trzeci opowie, co bywało kiedyś na świecie, gotowi jesteśmy słuchać.

POWIEŚĆ TRZECIA.

KORONA WĘŻA.

— U moich Panów był łowczy, nazwiskiem Siamion; dom jego był niedaleko dworu, pańszczyzny nie służył, cały jego był obowiązek, obchodzić lasy, iść na polowanie z Panem, i dostawiać zwierzyny, kiedy nakażą ze dworu, czekając gości, lub przed jakim wielkim świętem.

Pewnego dnia przychodzi do niego Ekonom i krzyczy, stukając w okno: „Siamion, Pan kazał abyś przygotował na niedzielę nieodmiennie parę głuszców, dwie pary cietrzewi, i kilka kuropatw, a więc nie leń się, bierz strzelbę, weź choć mego wyżła, i idź na polowanie."

Śpieszy więc, a była już środa; bierze strzelbę, zaszedł do dworu, i z wyżłem sam jeden poszedł błąkać się po lesie. W nieszczęśliwym czasie wyszedł na polowanie; cho-

dził dzień cały i widział tylko dzięciołów stukających na suchych sosnach; nocował w lesie, przeziąbł cały, bo to już była jesień; na drugi dzień też przed wschodem słońca tułał się po borze; lecz próżna praca i zdaleka nawet nie widział ptaków, których szukał, wiatry tylko szumiały po drzewach; pies zgłodniały uciekł do swego Pana, i on zmordowany powracał smutny do domu, nie wiedząc co począć.

Siadł na kłodzie i myśli sobie: będzie zle; Panowie nie powierzą, że starałem się z całych sił moich; raczéj posądzą mię o lenistwo; pokłoniłbym się i złemu duchowi aby mi pomógł tylko w tym razie.

Ledwo to pomyślał, zjawił się ogromny czarny pies, siadł przed nim i strasznemi oczami poglądał na niego. Siamion woła do siebie, lecz pies nie rusza się z miejsca, a tylko patrzy jakby wściekły; napadła trwoga i dreszcz przebiegł po ciele, i w tém postrzegł; człowiek już lat podeszłych wychodzi z gęstwiny, włosy splątane w kołtuny, brwi gęste wiszące, twarz jakby zwiędniała od słońca i wiatrów, — odzienie spadało po pięty, — siada na kłodzie przy strzelcu mówiąc te słowa:

— Widać, cóś torba twoja pusta i twarz smutna, pewnie polowanie nieszczęśliwe.

— Chodziłem dni dwa po lasach — zmordowany jestem, i pies zgłodniały uciekł ode mnie, nie udało się ani jednego razu wystrzelić, gdzież się podziało to ptastwo? Kazano mi na niedzielę przygotować żwierzyny, zkąd jéj wziąść? będzie bieda!

— Nie rozpaczaj, rzecze nieznajomy — posłuchaj mo-

jéj rady, ja ci pomogę: jutro 14 września, więc dziś wieczorem idź na Górę Łosiów, na całą noc będzie tobie drogi, gdyż sam wiesz, że ta góra ztąd nie blisko; wznosi się śród ciemnych lasów; wstąpisz na nią o samym wschodzie słońca, i obaczysz boki jéj pokryte wężami; nie lękaj się, nie zaszkodzą tobie, między nimi spotkasz Króla Wężów; rościel przed nim białą chustkę, padnij na kolana i pokłoń się, on rzuci tobie na chustkę swoją Koronę Złotą, i z gromadą swych wężów pójdzie na zimowe mieszkania; posłuchaj, jeszcze dam ci przestrogę; idąc przez noc całą do Góry Łosiów, nie lękaj się niczego, i nie dziw się niczemu, bo inaczéj próżne będzie staranie.

Gdy będziesz mieć u siebie koronę węża — ten pies czarny, którego teraz widzisz przed sobą, zawsze gdy tylko pójdziesz na polowanie, spotka cię w lesie, będzie przewodnikiem, i za każdym razem nastrzelasz zwierzyny tyle ile zechcesz. Ale i w ciągu życia twojego nie lękaj się niczego, i nie dziw się niczemu, bo gdy upadniesz sercem lub duchem, będziesz nieszczęśliwy; unikaj wszelkich uczuć serca. To rzekłszy, skrył się do gęstwiny i pies poszedł za nim.

Siamion, przeprowadził okiem nieznajomego, długo stał zamyślony, poszedł do chaty, wziął białą chustkę i udał się ze strzelbą na plecach do Góry Łosiów. Gdy wszedł do dzikich borow, już był wieczorny zmrok, i coraz ciemniéj śród gęstych sosen i jedlin, a on daléj i daléj idzie wgłąb lasów, coraz późniéj i późniéj, już i noc; spójrzał w górę, ledwo kilka przez gałęzi drzew obaczył gwiazd na niebie;

sam jeden z ludzi był o téj porze w téj pustyni lasów, słyszał tylko w około krzyki sów i puhaczów, i bieg śród gęstwy spłoszonego żwierza. Nie piérwszy to raz zdarzyło się mu błąkać w nocy po lasach, i podróż ta nie straszyła go.

O saméj północy, okropne straszydła okrążyły go; widzi, jak ogromny niedzwiedź na tylnych łapach zbliża się ku niemu, i rycząc już chce napaść, stada wilków najeżyły grzbiety świecąc oczyma i grożąc krwawą paszczęką; on idzie śmiało śród stada drapieżnych żwierząd, zastąpił mu drogę Olbrzym wyższy od lasów, i wyrwawszy ogromną sosnę, groził jakby piorunem; mija to wszystko na swéj drodze odważnie.

Księżyc wyszedł z za obłoku, zda się, wychodzi z lasu i widzi niby pałac z daleka; świeci się złotem i srebrem; zbliża się do téj pięknéj budowy przez czarujący ogród, gdzie zda się wiosna i lato razem się spotkały; najpiękniéjsze kwiaty i najwyborniejsze dojrzewały owoce; kukułka smutnym głosom odzywała się na drzewie; zaśpiewał słowik w krzaku; słyszał dziwne głosy kosów i szpaków, i rozumiał ich wesołe śpiewy; spotkały go dziewice z wiankami na głowach, tańcując wabiły do siebie; on mijał wszystkie te cuda nie dziwiąc się i nie zwracając na nie uwagi.

Znikły czarujące zjawienia; powiał wiatr jesienny; i ujrzał na wschodzie czerwone niebo, wkrótce wschód słońca; pośpiesza do Góry Łosiów.

Gdy przyszedł do naznaczonego miéjsca, obaczył stado gadów; te sycząc ustępowały mu z drogi, a już i słońce wscho-

dzić zaczyna; spotyka ogromnego węża, jakiego nigdy nie widział; ten pełznie śmiało, a złoto świeci się na jego głowie. Siamion rozesłał białą chustkę przed nim i padł na kolana; wąż zrzucił z głowy koronę na chustkę i pełznął daléj, a za nim i inne węże — i wszystkie skryły się za górą; w radości Siamion rozpatrywał skarb złoty, a ten podobny był do dwóch świécących się listków które końcami zrosły się z sobą.

Ledwie zostawił górę, wnet spotyka go ogromny czarny pies, który wczoraj towarzyszył nieznajomemu; pogląda w oczy i zdasię jakby mówi, żeby szedł za nim; idzie za przewodnikiem; ten się zastanawia i wzrokiem pokazuje mu na drzewie siedzących głuszczów; kilka razy strzelił w tym miejscu i kilka sztuk zabił; już niosł do domu głuszców, cietrzewi i kuropatwy, a gdy się zbliżał do chaty, pies stojąc na polu, czas niejaki patrzał na strzelca i znikł zprzed oczu.

Panowie chwalili łowczego gorliwość i biegłość w strzelaniu, a dworscy ludzie i Ekonom dziwili się jego szczęściu, że nie mając psa przy sobie tyle mógł znaleść zwierzyny.

Od tego czasu już Siamion był najsławniejszym strzelcem; ten czarny pies, za każdym razem jak tylko wchodził do lasu, spotykał go i on zwierzyny rozmaitéj tyle strzelał, że nie tylko zaspakajał potrzeby dworu, lecz i postronnym przedawał.

Rozeszła się pogłoska po całéj okolicy, że Siamion czarownik, że niektórzy drwa rąbiąc w lesie widzieli, iż z nim bywał jakiś pies czarny, który niepowracał do domu; Akim,

który niegdyś był z nim w przyjaźni, raz cicho podszedł pod okno jego chaty, chcąc się dowiedzieć co robił; posłyszał jak gdyby z kim rozmawiał; spójrzał w okno i postrzegł, że Siamion głaskał czarnego psa, który go zawsze spotykał w lesie; pies spójrzał na okno krwawym okiem i znikł, a Akim uciekł ze strachu.

Już lat kilka, cała włość gada o tém, że Siamionowi djabeł pomaga strzelać, którego on przybrał sobie do usług, lecz Panowie śmieli się z tego i niewierzyli; chociaż Pan sam będąc z nim na polowaniu, nie widział psa czarnego, jednakże dostrzegł, że dzikie ptastwo samo leci do niego, i on nigdy nie daje pudła.

Była w bliskiéj wsi Marysia piękna i młoda dziewczyna, córka pobożnych rodziców; wielu się ona podobała, i Siamion nie obojętnie patrzał na nią, polegając na swoje bogactwo i na łaskę Panów, miał pewną nadzieję, że Marysia do niego należeć będzie.

Pewnego dnia gdy szedł na polowanie postrzegł Marysię, ta miała na głowie wianek, którego kwiaty, tak jéj były do twarzy, że wydała się nader piękną. Blisko niwy chodząc zbierała poziómki; podchodzi Siamion prosząc jagod; nie odmawia mu dziewczyna; pyta się, czy ma od niéj wzajemność?

— Ludzie mówią, że ty czarujesz, rzekła Marysia, a ja się boję czarowników.

— O nie — Marysiu, nikogo nie czarowałem — i nie znam téj haniebnéj sztuki.

— Jeśli to prawda, ja krzyż noszę na szyi, poświęco-

ny podczas Jubileuszu i ma nadane odpusty, pocałuj mój krzyż.

— Najchętniéj, rzekł Siamion, i ledwo krzyż pocałował, wnet z trawy ogromny wąż podjął głowę, jakby chcąc pozrzeć Marysię; przestraszona, zakrzyczała dziewczyna; Siamion chwycił kamień i uderzył węża, ów sycząc schował się w trawie — i potém wraz zjawił się pies czarny, zaszczekał i znikł. Marysia od strachu drży ledwo żywa, Siamion ją odprowadził do domu, a ztamtąd znów idzie na polowanie, lecz już w lesie nie spotkał go pies czarny.

Ujrzał cietrzewia; strzelił i zamiast ptaka pień zgniły upadł na ziemię. Zląkł się Siamion, wraca do domu,— aż w chacie swojéj widzi mnóstwo wężów, które sycząc pełzły pod ławę i pod piec; spójrzał do skrzyni, dostaje Koronę Węża, lecz ta już nie złota; widzi tylko dwa brzozowe pożółkłe liście; staje jak osłupiały, niewie co począć.

Nieszczęśliwy Siamion ciągle był prześladowany od wężów; nie tylko w domie nie dawały mu pokoju, lecz i w gościnie; nie raz, gdy był u sąsiadów, w przytomności innych zjawiał się przed nim Wąż, nie wiadomo zkąd.

Gdy tak ciągnie opowiadanie trzeci podrożny, ktoś kołata do wrót i psy szczekają; parobek wybiega i wraz powraca oznajmując, że Pan Mrohowski przyjechał. Pan Zawalnia skoczył z pościeli, ubiera się z pośpiechem dla przywitania gościa.

— Czy nie pozwolisz mi przenocować Panie Zawalnia, rzekł Mrohowski, podczas takiéj zawieruchy, Pan jedyną jesteś ucieczką.— I ci także, rzekł poglądając na podróżnych, skryli się przed burzą, i pewnie opowiadają Panu powieści.

Wieśniacy i parobcy jeden po drugim wyszli do czeladnéj izby.

— Ja przeszkodziłem,— ale mam człowieka, który odwetuje za wszystkich, mój furman Jakusz lubi opowiadać awantury, choćby przez całą noc; niech tylko konie wyprzęże. Przeziąbłem cały.

Pan Zawalnia wraz rozkazał kuzynce swojéj cokolwiek zgotować na kolację.

— A cóż Panie Assesorze, czy nie łaska na wódeczkę, może cokolwiek zagrzeje, Pan pewno jedzie do Połocka, zabrać syna swojego, bo już blizko święto Bożego-Narodzenia, to dobrze, niech odpocznie po pracy, i obaczy się z rodzeństwem.

— A Pan synków swoich Stasia i Józia sprowadzisz do domu?

— Trzeba, trzeba; pozajutro muszę posyłać.

— Porucz mnie, ja ich zabiorę z sobą.

— Bardzo wdzięczny jestem, jeśli Pan łaskaw.

Potém Pan Mrohowski obracając się do mnie, prosił abym w czasie Świąt Bożego-Narodzenia, przyjechał do niego, i zabawił dni kilka, gdyż on będzie mieć u siebie, wiele gości młodzieży— z któremi przyjemnie mógłbym czas przepędzić.

Wkrótce podano wieczerzę. Stryj mój rozmawiając z gościem nie szczędził i dla mnie pochwał, mówiąc: synowiec mój Janko widać nie tracił czasu u Jezuitów; wiele opowiada z książek rozmaitych ciekawości.

— A czy lubi słuchać naszych Białoruskich bajek.

— Kiedy tu niedawno kilka podróżnych wieśniaków opowiadało co się zdarzyło widzieć lub słyszeć w życiu,— to uważałem, że Janko ciągle patrzał na nich z największą uwagą, on lubi słuchać powieści, ależ prawda, że i powieści były interesowane, o czarach i ludziach, którzy się pobratali z przeklętym duchem.

— Otoż i mój furman Jakusz, wiele widział i słyszał w swém życiu; gdy zacznie opowiadać, Bóg wie zkąd się u niego bierze, a już co do Wilkołaków, to z samego spójrzenia wraz ich poznaje. Oto właśnie, przed tą burzą na drodze spotykamy dwóch wilków, blizko zastanowiły się przy drodze; biorę karabin i chcę wystrzelić, Jakusz obraca się do mnie, zakrzyczał: nie strzelaj Pan, wszak u nich dusza ludzka, jeśli Pan zabijesz którego, to dusza jego pójdzie do piekła nie odpukutowawszy za grzechy, a za to i

Pan odpowiesz przed Bogiem. Nim skończył mówić, wilki uciekły.

Po wieczerzy przyzwano Jakusza. Nu Jakusz, rzekł Mrohowski, za to, że gospodarz był łaskaw nas puścić na nocleg podczas téj okropnéj burzy, powiedz nam cokolwiek o wilkołakach, tylko patrzaj, mów prawdę.

POWIEŚĆ CZWARTA.

WILKOŁAK.

— Nie wszystko nam w życiu zdarza się widzieć, lecz opowiem to, co słyszałem od mojego sąsiada o nieszczęśliwym człowieku, którego czarownik zamienił w wilka, i on wiele lat cierpiał błąkając się po lasach.

W okolicach pewnych, niedaleko miasta Newla, żył włościanin; znali go sąsiedzi i inni go pamiętają, nazywał się Marka; dziwne było jego życie; nigdy niewidziano wesołego, zawsze się smucił, był niespokojny jakby cóś utracił; towarzystwo wszelkie było mu przykre. Gdy ludzie idą na kiermasz pohulać, potańcować, lub się zbiorą na igrzyska do karczmy w dni wolne od pracy, on zawsze samotny w domie, lub gdziekolwiek błąka się po polu nudny i zamyślony.

Niektórzy pytali się u niego o przyczynę; on zawsze

odpowiadał: wiele cierpiałem, nic mi już na świecie nie zajmuje; umarłem dla świata.

Sąsiad mój, był z nim w ścisłéj przyjaźni, i on jemu tak razu pewnego opowiedział swoje życie:

— Były czasy kiedy i ja bywałem wesoły; żadna zabawa, żaden kiermasz nie obszedł się bezemnie; śmiéchy i tańce były mi w głowie; lecz to nie długo trwało. Poznałem Alonę. Piękna to była dziewczyna i córka bogatych rodziców, ona mi się podobała więcéj od wszystkich dziewic które znałem; starałem się ją częściéj widywać, bywać w domu jéj rodziców, okazując dla niéj w każdém zdarzeniu moje przywiązanie; znalazłem wzajemność i to było przyczyną mego nieszczęścia.

Alona miała wiele starających się o jéj rękę, między któremi Jlla, nad wszystkiemi miał przewagę; szpiegował i donosił o wszystkiém Panu, za co miał łaskę, jemu Pan we wszystkiém więcéj pozwalał niż innym; o każdéj porze miał prawo łowić ryby w jeziorach pańskich, tanno nabywał bydło i z korzyścią innym przedawał; często był posyłany do miasta zakupować rozmaite sprawunki dla dworu; przy każdém podobném poruczeniu zawsze cokolwiek odłożył do swojéj kieszeni; a tak oszukując w handlu i okradając Pana, zrobił się bogatym; miał wiele przyjaciół i łaskę we dworze, gdyż Pan uważał go za najwierniejszego sługę, lubił i wierzył mu więcéj niż innym.

W tém więc zaufany, posyła swata do Alony, lecz swatowie powrócili zniczém; gdyż ona przed rodzicami wyznała, że nie chce iść za mąż za niego.

Jlla odebrawszy taką odpowiedź, nie wola Alony — rzecze, lecz wola Panów; co niechciała zrobić na prośby to zrobi z rozkazu; poszedł do dworu, chęci jego wzięły skutek; kazano Alonie iść za niego za mąż.

Sąsiedzi, którzy wiedzieli o mojém przywiązaniu do Alony — spotykali mię z szyderskim śmiechem, drwiąc z mojéj opieszałości, bezrozsądnego przywiązania, i z odwagi, z jaką chciałem wszystkich nawet bogatszych poniżyć starających się o jéj rękę. I nie raz temi uszczypliwemi żartami, wyprowadzony z niecierpliwości, odzywałem się, że Jlla ze względów pańskich nie długo będzie korzystać; pieniądze zebrane z oszukaństwa i kradzieży nie pójdą w korzyść i Alona byłaby szczęśliwszą, gdyby wyszła za mąż choć za biednego, lecz za poczciwego człowieka.

Gdy posłyszał Jlla, że tak o nim mówiono, obiecał mścić się przy każdém zdarzeniu.

Nadchodzi dzień wesela; rodzice Alony wiedząc o mém przywiązaniu do ich córki, mówili mi, że woli Pańskiéj nie podobna przemienić, chociaż ona jest nie sprawiedliwa i bez litości, a więc żebym się zgadzał z losem, był ich przyjacielem i przyszedł na wesele. Chociaż nie chętny zgodziłem się na to.

Wesele było huczne, gości więcéj jak na kiermaszu; nowożeńcy oboje bogaci; zbierał się lud z całéj okolicy; w kilku miejscach pod odkrytém niebem były śpiewy, tańce i muzyka. Alona była bogato ubraną, wszyscy jéj winszowali rokując szczęścia i ciągłych uciech. Sam Pan przyjechał na ten bal godowy. Jlla go częstował; Pan rozma-

wiał z nim przechadzając się między weselącym się ludem. Nowożeniec postrzegł mię w tłumie gości; ja stałem smutny, bo mię nie tylko tam nic nie bawiło, lecz owszem wszystkie te wesołości naprowadzały tęsknotę; on spójrzał na mnie z szyderskim uśmiechem i poszedł z Panem daléj.

Po niejakim czasie podchodzi do mnie dudarz Arciom, człowiek lat podeszłych, mówiąc: czego się nudzisz? wypij ze mną wódki i będziesz się weselić jak i inni; wziął mię za rękę i ciągnie do stołu, gdzie były pełne butelki i zakąski; nie odmówiłem jego uprzejmości, wypiliśmy po dwa kieliszki wódki; wtenczas ktoś nieznajomy patrzając na mnie ze strony powiedział z uśmiechem: — no, teraz że on potańcuje! Arciom wraz mię zostawił, wziął swoją dudę i zaczął grać, a na mnie jeszcze większa napadła tęsknota.

Nie wiele przeszło czasu, aż podchodzi do mnie mój sąsiad i patrząc mi w oczy mówi: co to znaczy, że twoje spójrzenie tak straszne jak u zwierza jakiego; drugi się odezwał: ale doprawdy jego oczy świécą się jakby wilcze, i inni blizko stojący, toż powtórzyli, patrząc na mnie jakby z przestrachem; nie wiem co się ze mną działo wtenczas zadrżałem cały; mnie się zdawało, że ci ludzie życzyli mi czegoś najgorszego.

Alona z matką blizko stojąc rozmawiała; spójrzała na mnie i w przelęknieniu zakrzyczała: ach co się z nim dzieje! patrz matko, jakie straszne jego oczy, niech by ztąd poszedł sobie do domu.

Słysząc te słowy Alony, jakby piorunem byłem uderzony, w oczach mi się zaćmiło, przytomność straciłem; rzu-

cam zgromadzenie i nie wiem gdzie się udać, biegę drogą, spotykam kobiétę; ta prowadząc maleńkie dziécię za rękę krzyczy do mnie: ach, nie patrz na dziecię moje, zabijesz go strasznem twojém spójrzeniem! uciekam od przelęknionéj kobiéty i biegę do domu; ledwo się zbliżyłem do mojéj chaty, pies mój nie poznał mię; na próżno chcę go uspokoić, głosu mego dobywając, bom już słowa powiedzieć nie mógł; jęk tylko podobny do wycia dobywał się z piersi mojéj; trwoga na mnie napadła okropna; parobek mego sąsiada poglądając na mnie z zadziwieniem, „co to znaczy, rzecze, twoja twarz i ręce obrosły sierścią," gdy spójrzałem na siebie, nieprzytomny porzucam dom mój i biegę w polę; bydło na paszy chodzące ucieka ode mnie, psy się rzucają, ja prędzéj skrywam się do lasu.

Przebiegam bory i dzikie pustynie, padam pod cieniem gęstych jedlin; tam gdy spójrzałem na siebie, postrzegłem, ręce i nogi moje już przemienione w wilcze łapy; chciałem zapłakać nad mojém nieszczęściem, i straszne wycie wydobyło się z piersi moich.

Błąkam się po górach i lasach w postaci strasznego żwierza. Myśli i uczucia we mnie zostały ludzkie, pamiętałem przeszłość, i zastanawiając się nad swoim stanem, męczyłem siebie okropną rozpaczą, nie wiedząc czy będzie kiedy koniec temu nieszczęściu; po krzakach szukałem gniazd ptasich; napadałem na zające i inne słabe żwierzęta; to było mojém pożywieniem; nie zbliżałem się do domów ludzkich, a choć wiedziałem, że wszyscy ludzi są memi nie-

przyjaciołmi i przy każdém zdarzeniu, radzi będą życie mi odebrać, nie chciałem jednak im szkodzić.

Nie raz w dni niedzielne głos dzwonów kościelnych słyszałem z poblizkich lasów i wyciem błagałem Boga, aby się zlitował nad moim losem; wśród ciemnéj nocy wiele razy chciałem przybliżyć się do kościoła, lecz psy, wypadając ze wsi, ścigały mię, a niekiedy słyszałem krzyk ludzi i wystrzały; wówczas co prędzéj biegłem do lasu, aby skryć się od niebezpieczeństwa; każdy ranek wyjąc witałem wschód słońca, prosząc nieba o dzienny dla mnie posiłek.

Jesienną porą, w zimowe nocy, od dżdżów ulewy kryłem się drżący gdziekolwiek pod gęstą jedliną; szum wiatrów pogrążał mię w smutne wspomnienia przeszłości; podczas zimy nieraz, kilka dni byłem bez jedzenia; wycieńczony głodem, wytrzymując najokropniejsze mrozy, błąkałem się po polu, aby znaleść jakiegokolwiek pokarmu; spoczynek mój zawsze był krótki, i we śnie ciągle mi marzyła się przeszłość, dom rodzicielski, towarzysze młodości, i sąsiedzi, z któremi żyłem w przyjaźni; te przeszłe czasy, kiedy piérwszą miłość poczułem do Alony; zabawy, rozmowy niegdyś nasze, jéj spójrzenia wesołe, jéj wysoka postać w bogatym ubiorze, z kwiatami na głowie, jawiała mi się we śnie, jakby na jawie; niekiedy widziałem ją niespokojną; uciekała odemnie, albo z okropną trwogą precz mię od siebie pędziła, jak niegdyś podczas wesela, gdy mię z namowy Arciom, napoił zaczarowaną wódką; i po tak okro-

pném marzeniu, ja się porywałem ze snu cały drżący, i już lat kilka przeżyłem w tym smutnym stanie.

Nienawiść moja zaczęła rość ku ludziom, gdy rozważałem ich obłudę, niesprawiedliwość i nieżyczliwość dla równych sobie; zrobiłem postanowienie szkodzić im we wszystkiem, jak oni szkodzą jeden drugiemu przy każdem zdarzeniu, aby tylko dla siebie korzyść wyciągnąć; a więc napadałem na ich bydło i domowe ptastwo, gdy tylko można było, niszczyłem do szczętu.

Jednego razu, pamiętam jak teraz, była to wiosna, las się zielenił, dni jasne i ciepłe; ja brzegiem lasów skradałem się blizko wsi, w której żył Arciom; postrzegłem, na wzgórku chodzili pastusi około bydła; Arciom orał pole, niedaleko krzaków młoda dziewczyna stała przy gęsiach, on ją woła do siebie nazywając Hanką; posłał do chaty, dziewczyna prędko powróciła i znowu tam stała przy gęsiach.

Poznałem zaraz, że to jego córka; gdy z gęstwiny poglądałem na nią i na ojca, zapalił się we mnie gniew zemsty. Arciom niegodziwy człowiek, doprowadził mię do tego stanu, że w postaci strasznego wilka, nieznośne prowadzę życie; niechże i on jęczy nad stratą swojego dziecięcia. Wypadam z lasu, porywam dziewczynę; na krzyk córki, bieży w rospaczy ojciec wołając o pomoc; słyszę hałas pastuchów, psy na mnie napadły, zębami zraniły mię do krwi; lecz nic mię nie mogło strzymać; skryłem się prędko w borze; unosiłem moją zdobycz coraz daléj i daléj w pustynię lasów; i tam, skąd już nie mogła powrócić do domu, rzucam ją; ona długo leżała bez pamięci, lecz gdy przy-

szła do siebie, wołała rozpaczliwym głosem, błąkając się po lesie. Głos jéj i płacz, ginął bez skutku wśród gęstych sosen i jodeł, a ja ciesząc się z méj zemsty, rzuciłem ją w głuchéj pustyni.

Oddaliłem się z tego miejsca, gdzie się błąkała ta nieszczęśliwa ofiara méj złości; lecz nie długo cieszyła mnie ta zemsta; gdy minął zapał gniewu, przyszło mi na myśl, że Hanka biedne dziécię, bez winy cierpiało; chciałem powrócić do niéj, lecz nigdzie znaleść nie mogłem; głucho było w lesie i głos jéj już nie odzywał się.

Napadł na mnie nieznośny smutek; poznałem, że zemsta nie może zaspokoić cierpienia; gdziebym się nie obrócił, wszędzie mię prześladuje rozpacz ojca, lament błąkającéj się córki, i psy, które mię goniąc, raniły do krwi zębami; — zdawało się, że one wszędzie na mnie napadają; biegłem z jednego lasu do drugiego, nigdzie spokojności znaleść nie mogłem; sen uciekł ode mnie; bo i podczas spoczynku, ciągle się odzywał w méj myśli, głos rozpaczliwy ojca, lament córki, i psy szarpały ciało moje.

Dnia jednego postrzegłem kilku włościan, niegdyś mi znajomych; ukryci od południowego gorąca, siedzieli w cieniu drzew, a blizko chodziły konie wyprzężone z wozów; przybliżam się do nich, ukryty za krzakiem, słucham o czém rozprawiają między sobą, i słyszę jak jeden z nich tak mówił o mnie: Gdzie się teraz Marka błąka po lasach w postaci wilka? szkoda tego człowieka, już lat kilka mija od jego nieszczęścia; o gdyby jak on trafił do czarownicy Aksini, powiadają, że ta, łatwo przemienia ludzi w zwierząt

i znów przywraca ich do piérwszego stanu; nie wiem gdzie ona żyje, słyszałem jednak, że nie daleko od tych gór i lasów.

Pocieczyła mię ta wiadomość; postanowiłem zwiedzić wszystkie lasy i góry tych stron, aby wynaleść mieszkanie Aksini; — kilka nocy i kilka dni bez odpoczynku, zwiedzałem dzikie bory, i zwierzchołka gór wysokich opatrywałem miejsca odludne, sądząc, że tam się ukrywa jéj mieszkanie samotne.

Wybiegam z lasu na dolinę; ranek był jasny i cichy; widzę, kotka na trawie, szyję i łapki białe; grzbietek w paski światło i ciemno popielate, oczki bystre; w prędkim podskoku łapkami łowiła motyle po kwiatach. Z zakrzaku długo patrzałem na jéj wesołe podskoki i igraszki; wreście przyszła mi chęć ją schwytać, rzucam się... lecz jakby wiatr lekko skoczyła od krzaków; bieży na wzgórek, dopędzam ją — i już, już chciałem porwać, aż oto obraca się w srokę i leci po nad ziemią; — pędząc się daléj obaczyłem domek samotny; sroka usiadła na dachu i znów przemieniła się w kotkę; i widzę, pełno wszędzie kotek rozmaitego koloru; — kotki na dachu, kotki na oknach, kotki po podworzu, wszędzie kotki.

Ztąd wniosłem, że tu mieszkanie czarownicy Aksini, myśliłem, długo stojąc, czy iść do niéj! ona mnie nieprzyjmie w postaci wilka, trzeba aby się spotkać z nią gziekolwiek na przechadzce, i z pokorném uniżeniem się do nog błagać o jéj litość nad moim losem; skryłem się między gęstym chruśniakiem, i czekałem téj szczęśliwéj pory.

Słońce skryło się za lasy i góry; już brzegi borów gęstych pokrył zmrok wieczorny, blizko na jeziorze jeszcze świeciły się wody otoczone gęstą łozą; widzę wszystkie kotki, z domu, z dachu, z podwórza, tłumnie biegą na łąkę, zrywają zębami jakąś trawę, i wnet przemieniły się w dziewczyny; rozsypują się pomiędzy krzaki, śpiewają pieśni, tańcują, inne zrywają kwiaty i plotą wianki; biegę i ja, na ich łąkę; poznałem trawkę; drobniutki błękitny miała kwiatek; jak tylko ją zerwałem i połknąłem, wnet widzę siebie w postaci człowieka; w niepojętéj radości mieszam się w tłumie wietrznych Rusałek; biegam z nimi, tańcuję, weselę się, zupełnie zapomniałem o swojém nieszczęściu.

To igrzysko i radość trwała do późna; umilkły wszystkie ptaki w lesie, krzyk tylko odzywał się puszczyków; przeleciała sowa, siedząc na dachu mieszkania czarownicy, i świécąc oczyma, chichotała i lamentowała kwileniem dziecięcia. W tém nagle zaszumiał las, i wody w jeziorze uderzyły w brzegi *), Rusałki zakrzyczały: „północ! północ!" i wnet wszystkie przemieniły się w kotki, biegły na podwórzec Aksini, inne drapały się na dach, inne zaś przez okno skryły się do chaty, i ja znowu w postaci wilka, wbiegłem do lasu, położyłem się pod gęstą jedliną, rozmyślając o tém zdarzeniu, i żałując, że przemienienie w postać ludz-

*) Ogólne jest mniemanie ludu Białoruskiego, szczególniéj w powiatach północy, iż o północy zawsze lasy szumią i woda porusza się w jeziorach, równo z pieniem koguta. (*Przyp. Aut.*)

ką trwało niedługo; postanowiłem tu zostać i choć na czas krótki, zapomnieć o swém nieszczęściu.

Na drugi dzień czekałem wieczora, i takim że samym sposobem, kotki przemianiły się w dziewczęta, a ja w człowieka; bawiłem się z nimi, czas wesoło upływał, w tém jedna z koła zaczarowanych dziewic, patrząc na mnie z jakąś pogardą, „ja jego nie lubię," rzekła.

— Dla czego nie lubisz? pytam się, zbliżając się do niéj.

— Dla tego, że widziałem, jak się przemieniasz w wilka, a ja wilków nie nawidzę, bo wilk przyczyną mego teraźniejszego nieszczęcia.

— Jakim to sposobem? pytam się u niéj.

— Gdym będąc jeszcze przy rodzicach moich, pasła gęsi w polu, wilk mię schwycił i zaniosł w pustynię dalekich lasów, rzucił mię tam i sam skrył się; płacząc i wołając błąkałam się po borze, nie wiedząc w którą iść stronę; w tém na mój głos płaczliwy, przyleciała Aksini w postaci czarnego ptaka, zmieniła się w kobiétę, i biorąc mię za rękę, rzekła: „nie wyjdziesz z téj pustyni, napadną na ciebie dzikie żwierzęta i rozszarpią; chodź lepiéj do mego domu, u mnie żyć wesoło, co wieczór tańce i pieśni, tyś młoda dziewczyna, wszak lubisz tańcować?

Niechciałem z początku ją słuchać, lecz pomyśliwszy, że w tych pustych lasach, nikt mi nie da pomocy, zezwoliłem nareszcie na jéj naleganie; nie rozumiem, jakim czarodziejskim sposobem, wnet byłem przeniesioną do mieszkania téj czarownicy. O przeklęty wilkołaku, czemuż ty mię raczéj

nie rozszarpał w lesie! wolałabym umrzeć niż być zwierzęciem dzień cały, a na chwilę tylko zapominać cierpień.

Słysząc narzekania Hanki, zadrżałem cały; wnet przemieniłem się w wilka, odezwała się w pamięci rospacz ojca, lament nieszczęsnéj dziewczyny, i psy zaczęły szarpać ciało moje; rzucam się do lasu, biegam noc całą bez odpoczynku, nigdzie się skryć nie mogę od okropnego wspomnienia i prześladowania tych psów straszliwych.

Okropne prowadzę życie; nigdzie nie znajduję schronienia, biegam w rozpaczy po górach i lasach; straciłem już i nadzieję, że kiedykolwiek uspokoję choć na chwilę moje cierpienia.

Błąkając się tak bez odpoczynku, mijałem pole, gdzie rolnicy przy drodze jedli obiad pod cieniem brzozy, i widzę, jedzie drogą ksiądz, zbliża się do swoich parafjanów, wszczęła się długa rozmowa o rozmaitych religijnych przedmiotach: ksiądz ich nauczał, aby żyli z sobą w zgodzie i przyjaźni, darowali jeden drugiemu urazy i niemyślili nigdy o zemście, gdyż zemsta najwięcéj przeciwna religii i nie miła Bogu, poniża człowieka do stanu żwierząt, a dobroczynność i łagodność błaga miłosierdzie Pana.

Skryty w gęstych krzakach słyszałem wszystkie słowa księdza, i wnet zrobiłem postanowienie, nie tylko nie szkodzić ludziom, lecz owszem starać się im służyć i pomagać w czém tylko będę mógł, a może i nade mną Bóg się zlituje, wszakci mam duszę nieśmiertelną. W tych myślach zostawiłem księdza i oraczów.

Przeszło dni kilka, błąkając się myśliłem sobie — co ja mogę dobrego zrobić, będąc w tak wzgardzonéj wilczéj postaci, ledwo się zbliżę do mieszkania ludzkiego, wszyscy krzyczą na mnie, i psami szczwają, że muszę co prędzéj uciekać w lasy.

Jednakże nie zaniedbałem przedsięwzięcia swego, ile to razy odpędziłem lisów skradających się pod gęsi lub indyków, ktore bezpiecznie zostawione były w polu, gdy postrzegłem blizko bydła niedźwiedzia, wymknąłem się piérwszy z lasu odpędzić stado od niebezpiecznego miejsca, i przesrzedz pastuchów; nieraz od wilka odebrałem barana, którego on porwał od trzody jakiejkolwiek biednéj wdowy; takie prowadząc życie uspokoiłem cokolwiek myśli swoje, mogłem już zasnąć, choć nie wiele; podczas snu miłe marzenia przypominały mi przeszłość kiedym był niegdyś człowiekiem.

Było to w sierpniu, podczas jasnéj pogody; błąkałem się w okolicach mojéj rodziny, w tym czasie kiedy żniwa na polu dojrzały; z bliskiéj kniei widzę Alonę; ona żęła na swojéj niwie, a u brzegu niwy leżący na snopie spał malenki chłopczyk; patrzałem z przyjemnością na tę scenę, cieczyłem się, że Alona jest szczęśliwa, żyje spokojnie w swojéj rodzinie, Bóg błogosławił ich gospodarstwo, obfity urodzaj żyta pokrywał ich pole; gdy się bawiłem tym widokiem, wilk wypada z drugiéj strony lasu, porywa chłopczyka; na krzyk dziecięcia, rzuca się matka, „ratujcie, dziécko moje! woła, i wnet zemdlała; ja dopędziłem wilka, odebrałem dziécię niezranione, odniosłem do matki; na ratunek przy-

biegli sąsiedzi, patrzali na to z podziwieniem, a ja uciekłem do lasu.

Jakiegoś przyjemnego uczucia i nadzwyczajnéj spokojności doświadczyłem po tém zdarzeniu; położyłem się pod drzewem, i w słodkiem marzeniu zasnąłem. Widziałem we śnie, że byłem człowiekiem, w wieku saméj kwitnącéj młodości, i tak mi było lekko, że jak ptak latając przenosiłem się z jednego miejsca na drugie; widzę przed sobą ogród, tak piękny, że podobnego w życiu nigdy niewidziałem; gaje pełne śpiewających ptaków, a na nich piórka piekniejsze i żywsze miały kolory niż nasze wiosenne kwiaty; jasne wody w strumieniach snuły się tam i ówdzie; drzewa niektóre były pokryte wonnym kwiatem, na innych zaś dojrzewały owoce; postrzegłem na wzgórku ogromne kielichy lilij, nadzwyczajnéj wielkości, słodki wydawały zapach, gdy tylko co chciałem zerwać kilka kwiatków, jawi się przede mną Hanka; na niéj suknia tak biała jak lilije, i mówi do mnie: „nie zrywaj moich kwiatów; ja sadziłem te lilije, na moim grobie, polewałam łzami mojemi; rzekłszy znikła. Z ogrodu, przeniosłem się znów do jekiejś dzikiej pustyni; błąkam się pośród stoletnich sosen, ledwo znalazłem ścieżkę, która mię wyprowadziła do jakiejś ogromnéj góry; chcę wstąpić na wierzchołek, opatrzyć okolice, ztamtąd chciałem widzieć wieś, w któréj stał domek, niegdyś mieszkanie moich rodziców, zewszech stron góry, przepaści, niepozwalały mi się zbliżyć; tu spotykam jakiegoś Olbrzyma; on mię bierze za rękę, każe iść za sobą, wyprowadza z lasu na jakieś ogromne pole, gdzie się krzyżowały rozmaite drogi, i

mnóstwo podróżnych jadących i idących pieszo; wstępujem na pagórek, gdzie była mogiła; na niéj stał krzyż drewniany, blizko stérczała wbita do ziemi łopata. Olbrzym, kazał mi odkopać mogiłę, i dostać ztamtąd trupa! Przejęty strachem, spełniam wszystkie rozkazy nieznajomego towarzysza, wygrzebałem z piasku ogromny kościotrup; to będzie twoim ciałem," rzekł olbrzym do mnie; „musisz płakać w nim nim powołają cię do nowego życia".. Drżałem cały z przelęknienia; prosiłem aby mię uwolnił, lecz olbrzym trącił z wielką siłą, i ja wpadłem w ogromne piersi kościotrupa, a z nim razem do jamy; pasując się ze śmiercią obudziłem się ze snu.

Widzę, że jestem w ludzkiéj postaci; odzienie też same, które włożyłem niegdyś na siebie, idąc na wesele Alony; nie wierzyłem, że to było na jawie; obawiałem się poruszyć z miejsca, aby nie znikło tak słodkie marzenia. Zostając długo w zdumieniu, podniosłem oczy ku niebu, i dziękowałem Bogu za cud wybawienia z okropnego stanu.

Wstałem z miejsca mego spoczynku z niepojętą radością; zdawało mi się, że wszystkie drzewa i ptaki, winszowały mi nowego życia; o jak słodko doświadczać miłosierdzia bozkiego; okropny los człowieka porównać się ze żwierzętami.

Gdy tak opowiadał Jakusz, kogut już drugi raz zaśpiewał. P. Mrohowski dostał z kieszeni staroświecki zegarek, który miał figurę spłaszczonéj kuli; patrząc na skazówkę: — Oho! rzekł, przebiła piérwsza po północy; a cóż Panie

gospodarzu czy nie będzie już czas do spoczynku? awantur rozmaitych Jakusza, nie podobno wysłuchać; on ma ich w zapasie choć na miesiąc cały; a do tego jeszcze lubi gadać, i on gotów nie spać do samego świtu.

— Bardzo dziękuję Panu Assesorowi, że zrobił mi tę przyjemność; powiem Panu szczerze, że takie powieści nigdy mię nie nudzą; a jeszcze do tego, kto ich umie dobrze opowiedzieć. Jakusz musi być człowiek bardzo roztropny — i jaką ma pamięć nadzwyczajną; żadnego wypadku w życiu tego nieszczęśliwego Marki nie opuścił. Ależ Pan Assesor jutro ode mnie rano nie wyjedzie; wszak Pan słyszysz jak jeszcze wiatry wyją za ścianą, a któż wie, i do jutra może potrwa taka burza.

— W dzień burza nie straszna, jakkolwiek można będzie znaleść drogę; dobréj nocy panie gospodarzu.

Jakusz poszedł do czeladnéj izby, Pan Mrohowski udał się do pościeli, która już dawno dla niego była przygotowaną. Ja, powiedziawszy dobranoc stryjowi i gościowi, poszedłem do drugiego pokoiku na nocleg; zgaszono ogień; wszędzie cicho; tylko wiatry wyły za ścianą, i świerszcz odzywał się w piecu.....

KONIEC

TOMIKU PIÉRWSZEGO.

Biblioteka Publiczna Nr 324310 LUBLIN

60

1000072364